MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 50 WARSZAWA, 6 GRUDNIA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

HISZPANIA A POLSKA

NIE CHODZI nam o stosunki polityczne między temi dwoma krajami, lecz o pewne analogie historyczne. Analogie te wynikają stąd, że Hiszpania i Polska są położone na rubieżach Europy. Hiszpania na pograniczu Afryki, Polska na pograniczu Azji.

Nie zamierzamy, stwierdzając fakty powyższe, pomniejszać cywilizacji i kultury ludów azjatyckich czy afrykańskich; wiemy, co jest warta stara kultura chińska i co jest wart naród japoński; jesteśmy przeświadczeni, że ma wielkie znaczenie dziejowe do spełnienia naród rosyjski, doceniamy wartości cywilizacyjne i kulturalne religii Mahometa i wartość wyznających ją ludów... Lecz kultura i cywilizacja Europy jest inna, niż kultura i cywilizacja Azji i Afryki, a zadaniem ludów europejskich jest swego dorobku dziejowego bronić i swą misję dziejową wypełnić.

Najcięższe i najdłuższe walki w obronie Europy były prowadzone w Polsce i w Hiszpanii. Dość wspomnieć dzieje wojen z W. Portą i z Tatarami, oraz walki o wyzwolenie Hiszpanii z pod jarzma arabskiego.

Nie zamierzamy tu jednak pisać historii tych wojen.

Nawiązaliśmy do nich, by poruszyć w czytelniku wspomnienia i zachęcić go do porównania wydarzeń współczesnych z przeszłością. To pomaga do zrozumienia teraźniejszości, która nas w tej chwili zajmuje. Przed oczyma naszemi rozegrały się lub rozgrywają wypadki, które znów nasuwają nam analogie historyczne. Rok 1920 w Polsce i rok 1936 w Hiszpanii to dwie daty walk o kulturę i cywilizację europejską. Rok 1920 mamy wszyscy w pamięci; wiemy, że groziła nam wówczas nietylko utrata niezależności państwowej — lecz także zalew przez obcą kulturę. Rok 1936 w Hiszpanii nie jest dostatecznie zrozumiany przez naszą opinię. Wydaje się wielu ludziom, że odbywa się tam walka bratobójcza między stronnictwami hiszpańskiemi, że oto „front ludowy" i nacjonaliści wszelkich odcieni, zamiast współzawodnictwa przy urnach wyborczych, co byłoby piękne i pożyteczne, chwycili za broń i w jakimś szale nierozumnym mordują się wzajemnie i niszczą nagromadzone przez wieki zabytki budownictwa i skarby w postaci dzieł rzeźbiarskich i malarskich, bibliotek i t. p. I roztkliwiają się słabiutkie duszyczki polskie nad tem, co się dzieje za Pirenejami, zrzucając odpowiedzialność na zaślepienie obu stron walczących.

Tymczasem to, co się dzieje w Hiszpanii, jest walką narodu hiszpańskiego z najazdem obcym. Gazety przyniosły już dostateczną ilość informacyj, by stwierdzić, że wojska „frontu ludowego" posiadają nietylko broń i amunicję, dostarczoną z Rosji i z Francji, lecz że mają w swych szeregach cudzoziemców i to na bardzo wysokich stanowiskach. Mamy przed sobą na terenie Hiszpanii walkę Europy z Azją, naród hiszpański walczy o swe istnienie i o utrzymanie swej kultury i cywilizacji z obcemi i z pewną częścią własnego ludu, zjednaną dla cywilizacji i kultury obcej.

Jeśli się ktoś tak zapatruje na wypadki hiszpańskie, to nie może być wobec nich obojętny lub bezstronny. To nie jest walka stronnictw, lewicy z prawicą, czy komunistów z nacjonalistami, to jest wojna o charakterze religijnym (i dlatego

est tak zacięta), wojna prowadzona w istocie rzeczy o to, czy narody europejskie zachowają odrębność swej cywilizacji i kultury. Dlatego nie mogą na wypadki hiszpańskie patrzeć obojętnie ci wszyscy, którzy się uważają za Europejczyków; dlatego dla tych wszystkich wojna na terenie Hiszpanii jest ich własną wojną.

Czyż wobec wielkości i wagi zagadnień, jakie się rozstrzygają, może mieć znaczenie to, czy będzie zniszczony taki czy inny zabytek, rzeźba lub obraz. Jeśli duch kultury hiszpańskiej się ostoi, wyda z siebie nowe dzieła sztuki, jeśli ten duch uległ by zniszczeniu, to wszelkie dawne jego dzieła będą martwe.

Widzimy usiłowania z różnych stron, by równą odpowiedzialnością za zniszczenie obciążyć obydwie walczące strony. Jestto fałszywe przedstawienie tego, co się dzieje. Wystarczy jeden przykład — komuniści palą kościoły dlatego, że są miejscem kultu religijnego, który chcą zniszczyć, wojska narodowe nie mogą często uniknąć zniszczenia zabytków budownictwa, gdy tego wymagają względy strategiczne. Między temi dwoma czynami jest zasadnicza różnica. I jeśli stawiać sprawę drastycznie, jeśli sobie zadać pytanie — co jest ważniejsze czy zwycięstwo wojsk narodowych, czy uratowanie od zniszczenia stolicy kraju, to dla każdego rozumiejącego wagę tego, co się dzieje w Hiszpanii, nie może być żadnej wątpliwości — niech z Madrytu zostaną raczej tylko ruiny i zgliszcza, jeśli tem ma być okupione dalsze istnienie kultury i cywilizacji nietylko hiszpańskiej lecz i europejskiej.

Zrozumienie tej prostej prawdy, że wojna jest często nieuniknioną koniecznością, powinno być łatwiejsze w Polsce, niż gdzieindziej. Wszak każdy Polak wie, że jest koniecznością wojna w obronie niepodległości, wszak większość Polaków rozumie, że wojna 1920 r. była nietylko polską lecz i europejską. Czyż opierając się na analogiach między Polską i Hiszpanią, nie jesteśmy zmuszeni dojść do wniosku, że zwycięstwo gen. Franco będzie nietylko uchronieniem Hiszpanii od podziału i zalewu przez obcych, lecz także ocaleniem kultury i cywilizacji europejskiej?

STANISŁAW KOZICKI

WEWNĘTRZNA RÓWNOWAGA GOSPODARCZA

WYSTĘPUJĄ tu dwa główne zagadnienia: 1) stosunku przedsiębiorczości publicznej do przedsiębiorczości prywatnej 2) stosunku różnych gospodarstw do siebie z uwagi na ich rodzaje wielkości. Możnaby jeszcze wyróżnić trzecie zagadnienie; terytorialnego podziału pracy w granicach prawodawstwa narodowego, wyraźniej mówiąc, gospodarczego zjednoczenia Polski. Ale ten problemat nie nasuwa jakichś spornych punktów programowych, musimy go poruszyć, omawiając równowagę różnych typów gospodarstw. Zacznijmy od najwyraźniej zarysowanej sprawy: przedsiębiorczości państwowej i prywatnej.

Omawiając podstawy ustroju społecznego, stwierdziliśmy, że funkcja tworzenia nowego kapitału powinna przypaść zasadniczo wolnej gospodarce; że przedsiębiorczość państwowa ma mieć swoje pozagospodarcze uzasadnienie. Ale ta przedsiębiorczość jest faktem; należy się z nim liczyć, bo nawet gdy się ją będzie likwidowało, nie zawsze uda się ten proces dość szybko przeprowadzić. W tych warunkach nasuwa się pytanie, jak mają być prowadzone te publiczne przedsiębiorstwa, a dalej sprawa ściślejszego rozgraniczenia przedsiębiorczości publicznej i prywatnej. Można tu sformułować następujące zasady.

Po pierwsze. Koniecznem jest, by przedsiębiorstwa były prowadzone jak najbardziej gospodarnie, liczyły się z kosztami produkcji i w miarę możności przynosiły zyski. Reforma ich gospodarki powinna doprowadzić do zredukowania jawnych lub ukrytych dopłat ze skarbu państwa. Komercjalizacja przedsiębiorstw państwowych ma się zasadzać nie na rozluźnieniu kontroli budżetowej i tworzenia synekur urzędniczych w kierownictwie tych przedsiębiorstw, lecz na wysunięciu na pierwszy plan fachowego pierwiastka i wyplenienie ducha biurokratycznego.

Po drugie. Przedsiębiorstwa publiczne nie mogą uprawiać nielojalnej konkurencji w stosunku do prywatnej przedsiębiorczości. Nie mogą korzystać z przywilejów podatkowych i kredytowych, o ile sprzedają swoje towary i usługi, współzawodnicząc z prywatnemi przedsiębiorstwami, ani też korzystać z uprzywilejowanej ceny. Te same zastrzeżenia dotyczą również i obrotu produktami pracy więźniów, zakładów wojskowych, wychowawczych i t. d.

Po trzecie. Zakres gospodarki publicznej i prywatnej powinien być ściśle zorganizowany. To znaczy, że wolna inicjatywa gospodarcza winna mieć swą stałą i pewną sferę działania. Nie może się ona rozwinąć, gdy nie ma pewności, że ta dziedzina gospodarstwa, która jest jej zostawiona, jutro nie podkopie etatyzacji. Musi być zagwarantowane, że przedsiębiorczość państwowa ma swoje ścisłe granice, poza które niewykracza. Dla pewnego bezpieczeństwa, przejęcie tej lub innej gałęzi wytwórczości nie powinno zależeć od swobodnego uznania władzy wykonawczej, lecz od ustawowego upoważnienia.

Po czwarte. Nadzór państwa nad gospodarstwem powinien być oparty na podstawach prawnych, a usprawnienie władz administracyjnych dokładnie określone. Nie mogą prowadzić do mieszania się organów administracji państwowej w wewnętrzne sprawy przedsiębiorstwa, to zaciera odpowiedzialność i podrywa kalkulację. Należy unikać tego,

by przez zbyt troskliwy nadzór i zależność od publicznej administracji przedsiębiorstwo nie traciło swej samodzielności i nie dojrzewało stopniowo do upaństwowienia.

Słowem, konieczna jest stała równowaga między przedsiębiorczością publiczną a wolną przedsiębiorczością. Brak granicy między jedną a drugą prowadzi do chaosu, albo raczej do etatyzacji, gdyż gospodarka oparta na prywatnej inicjatywie, nie może się rozwijać, bo niema właściwej sobie sfery działania. Kto postawi kamienie graniczne, oznaczające tę sferę, ten stworzy warunki normalnego rozwoju gospodarczego. Wtedy też będzie można ustalić równowagę między gospodarstwami różnego typu i wielkości.

Nie chcemy tu dyskutować na jałowy temat, jakim krajem ma być Polska, czy przemysłowym czy rolniczym. Sprawa ta przesądzona jest z jednej strony przez nasze zasoby naturalne i gęstość zaludnienia, z drugiej przez położenie geograficzne i ewolucję gospodarstwa światowego. Polska nie może iść jednostronnie w kierunku przemysłowym, niemoże swego gospodarstwa oprzeć na przywozie surowców i środków żywności, a eksportować przedewszystkiem produkty fabryczne, bo na nie nie ma nigdzie zbytu w świecie, nie może też stać się krajem rolniczo-surowcowym, bo ma zbyt gęste zaludnienie. Nasz przemysł nie jest sztucznym przemysłem, gdyż bez niego miljony ludności byłyby skazane na śmierć głodową. Nie warto nad tem się długo zastanawiać; przejdziemy wprost do zagadnienia wewnętrznej równowagi w różnych działach wytwórczości.

Zacznijmy od rolnictwa. Jakie gospodarstwa rolne mają przyszłość: wielkie, średnie czy małe? Potrzeba nam gospodarstw różnej wielkości, bo tylko wtedy produkcja rolna będzie dostatecznie różnostronna i zdolna do postępów technicznych. Równocześnie naturalną jest tendencja do ograniczenia gospodarstwa folwarcznego na rzecz gospodarstw średnich i drobnych. Te ostatnie dowiodły swej żywotności tak w Polsce jak i w innych krajach. Własność wielka podlega ciągłej parcelacji bez względu na to, czy polityka ekonomiczna państwa popiera ten proces czy go hamuje. Przeludnienie wsi, której ludność nie znajduje ujścia ani po miastach, ani też w masowej emigracji, wywiera nacisk w tym samym kierunku.

Zagadnienie naprawy ustroju rolnego jest przedewszystkiem zagadnieniem gospodarczem. Ta naprawa nie może się wyrażać w obniżeniu i zmniejszeniu produkcji rolnej. A więc hasło likwidacji całej własności folwarcznej jest niebezpieczne, gdyż może doprowadzić z jednej strony do poderwania podstaw przemysłu rolnego i bardziej trudnych rodzajów uprawy (nasiennictwo), a także i rychłe zaopatrzenie armii w zboże na przypadek wojny może stać się trudne. Nie zapominajmy o tem, że parcelacja większej własności nie prowadzi u nas do powstawania średnich gospodarstw rolnych, gospodarstw farmerskich zachodnio-europejskiego czy południoamerykańskiego typu, lecz pociąga za sobą coraz większe rozdrobnienie ziemi.

A dalej tempo przemian ustroju rolnego zależy od dopływu kapitału w postaci taniego długoterminowego kredytu. Im silniejsza jest kapitalizacja, tem większe możliwości otwierają się przed akcją parcelacyjną, Łatwo stworzyć zapas ziemi, zwłaszcza dzisiaj. kiedy tak dużo większych gospodarstw ugina się pod ciężarem zadłużenia. Jednakże trudniej zagospodarować i urządzić nowe małe gospodarstwa. Nie zdobędzie się potrzebnego kapitału z budżetu państwa przez wzrost obciążenia podatkowego. Kapitały te muszą powstać w naturalny sposób i pod tym względem los reformy rolnej zawisł od poprawy ogólnego naszego położenia gospodarczego. Nie potrzeba też specjalnie podkreślać, że skuteczność naprawy ustroju rolnego zależy od stopnia kultury i oświaty tych żywiołów, w których ręce przechodzi ziemia folwarczna.

A następnie ustrój własności rolnej ma ogromne znaczenie narodowe. Ziemia nie jest zwyczajnym towarem. Stosunek narodu do jego ziemi, do tego kto na niej siedzi, i kto nią włada, nie jest obojętnem zagadnieniem. Nie możemy oczywiście dopuścić do tego, by ziemię eksploatował żywioł żydowski, nie mogą Niemcy nadal prowadzić w państwie polskiem, swej akcji kolonizacyjnej. Nie chcemy oczywiście rugować z ziemi ludności słowiańskiej, mówiącej innymi językami, od wieku wieków razem z nami na tej ziemi osiadłej. Ale ziemia z polskich rąk powinna iść przedewszystkiem w polskie ręce. Stoją przed nami wielkie zadania kolonizacji wewnętrznej. By osadzić Polaków na niemieckich folwarkach na zachodzie, znajdzie się dość osadników polskich na miejscu. Ale fakt, że w województwach centralnych mieszka (na 1.I.1936) 103 osób na 1 km^2, a w województwach wschodnich 47, ma swoje konsekwencje. Nikt nie zdoła zbudować muru wewnątrz granic państwa, któryby miał rolnemu czy bezrolnemu chłopu z województwa krakowskiego i kieleckiego niepozwolić osiedlić się na ziemiach wschodnich. Polska podejmie swe dawne tradycje kolonizacyjne, ale dziś już swoim mazurom nie pozwoli się zruszczyć.

Przez reformę rolną nie rozumie się wszystkich trudności gospodarczych i społecznych rolnictwa. Ludność Polski jest zbyt gęsta, by można było stworzyć same tylko pełne gospodarstwa chłopskie. Na to nie starczy ziemi, chociażby nawet większa własność miała zniknąć. Dlatego też sceptycyzm budzi projekt wprowadzenia niepodzielnych gospodarstw chłopskich. Takie próby były już u nas podejmowane w ciaśniejszym zakresie (włości rentowe w b. Galicji). Pomysły te mogą się udać pod dwoma warunkami: a) dziedzic, obejmujący niepodzielne gospodarstwo, musi mieć za co spłacić swe rodzeństwo, b) zbywająca ludność wiejska musi mieć możność znalezienia pracy w przemyśle i handlu. O ile nie ma sprzyjających warunków rozwoju tej formy własności, narzucona przez ustawę reforma pozostanie papierową reformą; formalnie gospodarstwo będzie niepodzielne, a w rzeczywistości będzie na nim siedziało kilka rodzin, Na wsi siła zwyczaju, zakorzenionych pojęć społecznych, jest bardzo wielka, ustawy nie zdołają jej odrazu przełamać.

I nadal zostanie wiele gospodarstw, które nie wystarczą na utrzymanie chłopskiej rodziny. Największe rozdrobnienie własności jest przeważnie w tych okręgach, gdzie mało jest większej własności, a więc nie można uzyskać zapasu ziemi na tak zw. upełnorolnienie, (np. województwo krakowskie). Dla tych gospodarstw ratunkiem jest rozwój przemysłu. Już dzisiaj znaczna część go-

spodarstw, zaliczonych (formalnie do karłowatych) stanowi dodatkowe uposażenie robotników fabrycznych. Wydatniejszą ulgę przeludnionej wsi może przynieść, obok parcelacji, przerzucenie się części ludności wiejskiej, której ziemia nie może wyżywić do rzemiosła, przemysłu domowego i handlu. Rozwój przemysłu nie stoi na drodze rozwojowi rolnictwa, a przeciwnie przynosi mu ulgę. O tem, by ludność miejską, by bezrobotnych miejskich można było po wiach osadzać, trudno myśleć; raczej jeszcze nadal nadmiar ludności wiejskiej będzie odpływał do miejskich środowisk.

(Dok. n.) ROMAN RYBARSKI

OBLICZE DEMOKRACJI FRANCUSKIEJ

ANDRÉ Tardieu, który był trzykrotnie premierem i jedenaście razy ministrem, wydał w tym roku pierwszy tom studiów politycznych pod ogólnym tytułem: („*La Révolution à refaire*" (Rewolucja do odrobienia). Ten pierwszy tom został zatytułowany: „*Le souverain captif*" (Uwięziony władca) i poświęcony jest ideologii Wielkiej rewolucji francuskiej i ocenie praktycznego stosowania tej ideologii. Zdaje się, że następne dwa tomy („*La professton parlementaire*" i „*Le sabotage des interêts généraux*" będą tylko pogłębieniem tomu pierwszego; dalsze zasadnicze rozważania przyniesie bezwątpienia tom czwarty („*Le règne du matérialisme*"), a przedewszystkiem tom ostatni, jak to sam tytuł wskazuje: „*Les issus possibles*" (Możliwe wyjścia).

W przedmowie do „*Le souverain captif*", Tardieu zwierza się, że do zerwania z karierą polityczną, którą mu dotąd zapewniał istniejący *régime* francuski, skłoniło go zdecydowane przekonanie, że ten *régime*, który wojny nie przygotował i źle ją prowadził, zrobił wszystko, aby zmniejszyć wartość zwycięstwa, które nie było jego zasługą i sam jest niemożliwy do poprawienia; jak się wyraża Tardieu, jest to *régime* „*à la foi intolérable et nonperfectible*". Tardieu zapowiada, że jego dymisja z dostojeństw III-ciej republiki, nie jest końcem lecz początkiem, że opuszcza instytucje parlamentarne, aby zasługiwać się nieśmiertelnej Francji, której wrogiem jest *régime* Francji dzisiejszej. „Wierzę bardziej, niż kiedykolwiek w potęgę idei, pisze Tardieu. Książka dobra i wpływowa jest silniejsza od rządu albo od zgromadzenia". Według Tardieu'go, pierwszorzędną jednak rzeczą są akty; od czynów się wychodzi i rozważając je dosięga się idei.

Jak widzimy, Tardieu stanął w obozie rewolucji intelektualnej, jej konieczność skonstatował przedewszystkiem Karol Maurras, który, jakby dla upamiętnienia upływającego w tym roku pięćdziesięcioletniego jubileuszu swojej rewolucyjno-intelektualnej działalności, odbywa „karę" więzienia, zadecydowaną przez rząd socjalisty, żyda i milionera Leona Bluma. Jednak Tardieu woli przedstawić siebie jako kontynuatora „*Les origines de la Fracee contemporaine*" Taine'a i jako następca słynnego filozofa i historyka, nie zaś jako kolaborant Maurrasa, dochodzi Tardieu do konkluzji, że „dawne rządy upadały przed zestarzeniem się, zaś obecny *régime* zestarzał się przed upadkiem".

Dzisiejszy ustrój francuski oparty jest na wielkorewolucyjnej idei o suwerenności ludu; Tardieu wykazuje w „*Le Souverein captif*", że suwerenność w praktyce odebrana została ludowi przez instytucje ustawodawcze sprzymierzone z rządem, zaś obecnie należy ona już wyłącznie do instytucyj ustawodawczych, kierujących się tylko interesami wyborczemi, a więc niezdolnych do zajmowania się ogólnymi i trwałymi interesami narodu i państwa.

Rozdział moralności i państwa dokonany został po raz pierwszy w starożytności, gdy chrześcijaństwo walczyło z państwem antycznem i wskutek tego, przez długie wieki, przedstawiciele katolickich teoryj politycznych wypowiadali rewolucyjne poglądy o suwerenności ludu i o walce z tyranami. Według Tardieu'go nie reforma wyznaniowa, lecz renesans humanistyczny wniósł nowe pierwiastki rewolucyjne, które uwypuklano i systematyzowano coraz bardziej aż do „*Contrat Social*" J. J. Rousseau.

Wielka rewolucja francuska nie może być podzielona na rewolucję monteskiuszowską, rewolucję wolteriańską i russowską; noc 4-go sierpnia i Deklaracja praw człowieka i obywatela pochodzą tak samo od Rousseau, jak gilotyna, ponieważ to Rousseau wskazał, że wolność i równość urzeczywistniają się przez suwerenność ludu; Jan Jakub jest nawet ojcem komunizmu dzisiejszego, gdyż już on głosił, że „owoce należą do wszystkich a ziemia do nikogo". Cała filozofia dzisiejszych „frontów ludowych" została wypowiedziana już w XVIII-ym wieku. Rewolucjoniści tej epoki i ich dzisiejsi uczniowie uznali za swoje zadanie zamknięcie historii tradycjonalistycznej i otworzenie kart historii racjonalistycznej. Zdaniem Tardieu'go, ideje roku 1789 są naprzód i przedewszystkiem wściekłym wybuchem pychy ludzkiej. Pycha, wsparta na optymizmie, wynikającym z odkryć naukowych, wzywała ludzkość do zabicia przeszłości w imię domniemanego ciągłego postępu.

Tardieu wypowiada się zdecydowanie przeciw idei W. rewolucji. „Dobroć naturalna" człowieka jest rzeczą tak samo sporną, jak abstrakcyjny „człowiek"; prawdziwego postępu nie ma, gdy się obetnie przeszłość; wolność nie jest największem dobrem, „bo czyż nie z powodu swoich wolności, Polska kiedyś upadła?" Równość jest także złudzeniem, jest pochodzenia matematycznego, a nie eksperymentalnego, „nie ma śladu równości w naturze" i obserwacja wykazuje tylko nierówności. Tardieu przytacza zdanie Napoleona, że próżność była matką W. rewolucji, i że nie sprawuje się rządów nad ateistami, lecz się ich rozstrzeliwuje.

Powyżej przytoczone rozważania Tardieu'go, znajdują się w pierwszym rozdziale książki „*Le Souverain captif*", zatytułowanym: „*Les imnortels principes*"; w tym samym rozdziale dłuższe ustępy poświęcił autor charakterystyce W. rewolucji francuskiej. Według Tardieu'go, sytuacja polityczna, gospodarcza, społeczna i finansowa za pa-

nowania Ludwika XVI nie wymagała rewolucji i nie była jej przyczyną; bez rewolucyjnej ideologii, bez rewolucji umysłowej, dokonanej w warstwach kierowniczych przed r. 1789, nie doszłoby do przewrotu, który dotąd ma rozstrzygający wpływ na losy Francji. Ani we Francji nie istniała rzeczywista potrzeba przewrotu, ani ten przewrót nie był wynikiem chęci naśladowania angielskiego systemu rządów. Rewolucja francuska przygotowała dla Bonapartego lud złożony z niewolników.

W następnych rozdziałach Tardieu przedstawia, jakie są skutki panowania ideologii wielkorewolucyjnej we Francji dzisiejszej, której *régime* ciągle się na W. rewolucję powołuje. W imię abstrakcyjnej wolności W. rewolucja francuska zniweczyła liczne swobody, które czyniły z monarchii francuskiej monarchię ograniczoną. „Jest rzeczą pewną, stwierdza Tardieu, że *ancien régime* nie uznał, nie określił i nie zapewnił wolności indywidualnej, lecz pogodził się z utworzeniem licznych swobód, które stowarzyszonym jednostkom dawały pewne zabezpieczenia wobec władz. Pierwszym czynem rewolucji było zniesienie tych wolności zbiorowych i, jak się wyraził Tallayrand, pozbawienie narodu kości". Oczywiście nie mogło być mowy o wolności za I-ej republiki, która potrafiła więzić jednocześnie czterysta tysięcy swoich obywateli, ale Tardieu stwierdza, że w III-ej republice także niema wolności.

Konstytucja francuska z r. 1875 nie wspomina ani słowem o wolnościach człowieka i obywatela". Clemenceau, w uderzającej formule, wyjaśnił dlaczego, oparta na wielkorewolucyjnych zasadach republika nie może uznać wolności sumienia ani wyznania: „My przedstawiamy prawo człowieka, a Rzym przedstawia prawo Boga". Prócz wolności sumienia III-a republika pogwałciła wolność nauczania i stowarzyszania się. Niema dzisiaj we Francji skargi o naruszenie wolności indywidualnych, niema także rzeczywistej niezależności sądów, gdyż sędziowie nigdy nie sprzeciwiają się dyrektywom władz ministerialnych i obywatel francuski nie jest niczem zabezpieczony przed samowolną rewizją albo aresztem. Kończąc rozdział o braku rzeczywistej wolności i o zależności sądów od władz politycznych, Tardieu pyta: „Czy trzeba przypomnieć wreszcie, że w r. 1889 republika francuska wzniosła pomnik Dantonowi złodziejowi, tyranowi, mordercy".

Nie tylko wolności, ale nie było i nie ma dotąd we Francji równości. „Równość przed prawem? Równość przed urnami wyborczemi? Równość przed sądami? Równość w wykonaniu służby wojskowej? Równość podatkowa? Słowa, słowa, słowa..."

Ludem suwerennym we Francji jest tylko ogół wyborców do Izby poselskiej, to znaczy czwarta część ogółu ludności, a w praktyce jedna dziesiąta. Całe ustawodawstwo III-ej republiki pełne jest ustaw wyjątkowych. Poczynając od afery panamskiej, kończąc na aferze Stawiskiego, widzi się stosowanie w wymiarze sprawiedliwości przywilejów dla jednych i prześladowania dla innych; na podstawie szczególnego i niepisanego prawa zróżniczkowania, w czasie wojny jednych umieszczono w fortach Verdun'u, a innych oddalono aż do Tuluzy; równość podatku krwi nie istnieje. Opublikowane dokumenty stwierdzają, że na 40 milionów Francuzów tylko niecałe dwa miliony płacą podatki bezpośrednie: „większość nie płaci, a mniejszość płaci zadużo", — nie ma równości fiskalnej. Zdaniem Tardieu'go nierówności dzisiejsze są gorsze niż dawne przywileje, gdyż są liczniejsze, bardziej samowolne i pełne hypokryzji; u tych, którzy korzystają z państwa potrzebują go, niema żadnej myśli o równości ini legalności, wiedzą oni, że możliwe jest wszelkie nadużycie władzy, jeżeli użyć odpowiednich „wpływów".

Bardzo ciekawe rozważania poświęca Tardieu przedstawieniu stosunku *régime*'ów francuskich, opartych na ideologii wielkorewolucyjnej, do własności. W. rewolucja francuska była wielkiem przeniesieniem własności, nie ogłosiła ona, że własność jest kradzieżą, lecz przez kradzież zmieniła właścicieli. III-cia republika przez etatyzm i fiskalizm wpływa także na zmianę własności i może zniweczyć własność; obciążenia podatkowe wystarczają do zniknięcia każdego dziedzictwa w ciągu trzech pokoleń. Demokracja jest tak samo niezdolna do rozpowszechnienia własności, jak do jej uświęcenia; po sześćdziesięciu pięciu latach III-ej republiki istnieją wielkie nierówności, wyjaśniające nierówność klasową. Konkluzja: „Kodeksy stwierdzają równość, ale jej nie ma ani w praktyce instytucyj, ani w obyczajach. Niesłychana samowola. której jedynem ustępstwem jest zaniechanie gilotyny, rządzi Francją demokratyczną. Osobiste względy decydują o losie urzędników, obywateli, nad którymi ci urzędnicy sprawują administrację, o wymiarze sprawiedliwości i podatków".

Tardieu konstatuje, że we Francji nietylko nie ma wolności i równości, ale także naród, pojęty demokratycznie, jako ogół ludności, nie jest suwerenem. Przedewszystkiem Francuzi nie posiadają przyznanego konstytucyjnie Amerykanom i Szwajcarom ustawodawstwa plebiscytowego i plebiscytowych wyborów; co więcej przez rewizję konstytucyjną z r. 1884, postawiono republikę nad suwerennością ludu, gdyż ówczesne Zgromadzenie narodowe związało na przyszłość wolę suwerena, zabraniając zmienienia formy rządu w drodze rewizji konstytucji. Chociaż Tardieu zastrzega, że w swoim pierwszym tomie, chce na podstawie faktów opisać stan polityczny dzisiejszej Francji, jednak z uwag, które robi, udowadniając, że suwerenność ludu francućkiego jest złudzeniem, widać, że jest on zwolennikiem udzielania praw wyborczych kobietom i wprowadzenia t. zw. „bezpośrednich rządów ludu" przez plebiscyty. Parlament francuski nie jest przedstawicielstwem narodowem.

Na 40 milionów Francuzów tylko 11 i pół miliona ma prawo głosowania; z uprawnionych do głosowania przy III-ej republice jest od 16 do 30 proc. wstrzymujących się i średnio głosuje koło 8 milionów, przyczem demokratyczne rozstrzygnięcie przez liczbę, powierza decyzję połowie plus jeden, a zatem mniej więcej czterem milionom obywateli, jednej dziesiątej ludności. Jednak Izba nie przedstawia nawet większości swoich wyborców; we wszystkich izbach poselskich III-ej republiki, liczba głosujących wyborców, którzy nie otrzymywali swojego przedstawicielstwa, przewyższała o półtora miliona liczbę głosujących wyborców, którzy otrzymywali rzeczywistą reprezentację w izbie poselskiej. Dzieje się to wskutek specyficznego podziału na okręgi wyborcze i sy-

stemu głosowania. Np. okrąg wyborczy, liczący 95 tysięcy wyborców, wybiera jednego deputowanego, tak samo jak okrąg, mający 20 tysięcy wyborców; system głosowania sprawia, że kandydat, który otrzymał 6,500 głosów w jednym okręgu zostaje wybrany, w innym okręgu kandydat przepada, choć otrzymał 76 tysięcy głosów. Nielepiej jest w „wielkich demokracjach Anglii i Stanów Zjedn. Am. Półn.. W tych krajach, podobnie jak we Francji, różnica głosów oddanych w kraju na zwalczające się bloki polityczne, może być bardzo mała, a za to różnica otrzymanych przez te bloki mandatów, olbrzymia. Kto wobec tego rządzi, kto fabrykuje wybory, kto jest prawdziwym suwerenem? Mniejszość i to mniejszość ukryta. Za I-ej republiki o historii Francji decydowało 6 tysięcy jakobinów paryskich, teraz decyduje masoneria przez swoje loże i przez swoje filie: Ligę Praw Człowieka, Ligę Nauczania, Ligi Pacyfistyczne, partję radykalno-społeczną i socjalistyczną. Dzięki tym organizacjom „fabrykuje się opinię publiczną, jak fałszywą monetę"; w rezultacie we Francji, tak samo jak w innych demokracjach, tworzy się hierarchia plutokratyczna, wygrywa najbogatszy.

„*Le Souverein captif*" Tardieu'go przedewszystkiem udowadnia, że hasła W. rewolucji nie są we Francji stosowane, ale zarówno z rozdziałów, poświęconych przedstawieniu faktycznego stanu rzeczy, jak i z rozważań doktrynalnych, wynika potępienie przez autora „nieśmiertelnych zasad" nietylko jako niemożliwych do zastosowania, ale także jako z gruntu fałszywych, sprzecznych z naturą ludzką, z naturą społeczeństw i z koniecznościami życia francuskiego. Przekreślenie przeszłości i przejęcie się tylko materialistycznie pojętą teraźniejszością, oraz urojoną przyszłością — te myśli przewodnie ideologii wielkorewolucyjnej są kategorycznie odrzucone przez autora, który stwierdza: „Przeszłość jest wielką rzeczą, znacznie poprzedzającą i wyższą od współczesnej nam cywilizacji. Ludzkość, której większość stanowią umarli a nie żywi jest w niebezpieczeństwie zapominając o swoich umarłych. U podstaw współczesnej Europy są tradycje głębsze i bardziej twórcze, niż prawa człowieka i telefon. Kto nie rozumie tej przeszłości, ten nie zna samego siebie i pomniejsza się dla przyszłości".

L. G.

NA DRODZE KSZTAŁTOWANIA USTROJU

JEDEN z paragrafów konstytucji 17-go marca głosił, iż co dwadzieścia pięć lat ma się dokonywać rewizja uchwalonej ustawy.

Sądzono zapewne, że kładzie się fundamenty pod trwały ustrój Rzeczypospolitej. Naiwne złudzenie. Konstytucja marcowa nie w dwadzieścia pięć, ale w pięć lat po jej uchwaleniu stała się formą bez znaczenia.

Rzucenie hasła utworzenia większości polskiej było już w intencji przeciwstawieniem się klasycznej demokracji z jej pięcioprzymiotnikową ordynacją wyborczą. Wprawdzie było ono i zgodne z jednym z naczelnych paragrafów konstytucji, który głosił, że władza w państwie polskim należy do narodu, ale nie określono wcale pojęcia narodu, co wobec dalszych paragrafów było poprostu koniecznością, z tym bowiem pojęciem, jakie powszechnie ze słowem „naród" kojarzymy, kłóciły się one wyraźnie.

Drugim atakiem na konstytucję z prawej strony izby był wniosek o *numerus clausus* na wyższych uczelniach. Bił on również w klasyczną demokrację. Wywołało go życie niedopasowane zupełnie z treścią ustawy marcowej.

Nie zmieniono konstytucji z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, iż przyjęto zasadę faktów dokonanych a po drugie dlatego, iż w stosunku do niej miano nastawienie wyłącznie negatywne. Pozytywnej wizji nowego ustroju wyraźnie brakowało, dowodem czego jedynie ciągłe zapowiedzi zmian, oraz dwukrotne niefortunne próby wprowadzenia nowej ustawy.

Zasada faktów dokonanych wpłynęła demoralizująco na społeczeństwo polskie, nie ucząc go bynajmniej szacunku dla prawa, Ze stanu *ex lex* można korzystać bez większej szkody dla poczucia prawnego narodu tylko wówczas, gdy się stoi na stanowisku, iż stan ten wyjątkowo obowiązuje, w momencie atoli, gdy się powraca do normalnego biegu życia należy podporządkować się prawu. Złe? to zmienić. Ale jest to wysiłek już pozytywny, a u podłoża zamachu majowego leżała, jak zaznaczyłem, wyłącznie negacja.

Nie skorzystano z tak wygodnego dla każdych rządów autorytatywnych stanu *ex lex*, bagatelizując odrazu w parę dni po fakcie zamach aktem wybrania marszałka Piłsudskiego na stanowisko Prezydenta Rzeczypospolitej. Zbyt szybkie przejście okresu rewolucji do stanu legalnych form rządzenia wytworzyła dla rządzących sytuację nad wyraz trudną. Musiano się aż nazbyt często uciekać do interpretacji ustaw t. zw. „Interpretacje Carowe" pozostaną na kartach historii czymś niezwykle charakterystycznym dla okresu rządów pomajowych.

Tymczasem zmiany w ustroju postępowały, mimo, iż kierownicy nawy państwowej nie dawali im formalnego wyrazu. Ograniczono prawo izb ustawodawczych, wzmocniono pozycję rządu i Prezydenta Rzeczypospolitej, w rzeczywistości jednak — skupiano nerwy życia politycznego w rękach marszałka Piłsudskiego. Pragnąc rządy te oprzeć na większości parlamentarnej, a więc ciągle jeszcze respektując formalnie konstytucję marcową, utworzono Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem. Było to wydarzenie ważne o tyle, iż stanowiło próbę, nieudaną zresztą, utworzenia monopartii, co należy już indentyfikować z zupełnym zamachem na demokrację. B. B. W. R. nie było zresztą zamachem pierwszym.

W tym czasie, gdy w sferach dzierżących władze dokonywały się te wszystkie zmiany, w narodzie, a szczególnie jego młodym pokoleniu dokonywały się również zmiany, ale sięgające nierównie głębiej. Przedewszystkiem zerwano z zasadą demokracji, wychodząc z założenia, że demokracja jest negacją narodu. Naród wysunięto na czoło zjawisk społecznych, państwo uznając jako jego funkcję.

Takie ujęcie wywołało w kołach rządzących

reakcję. Państwo tam wysunięto na czoło, istnienie narodu lekceważąc nawet zupełnie (słynne powiedzenie prof. Wacława Makowskiego). Oparcie się na t. zw. ideologii państwowej, acz bardzo niedoskonałej, było przecież dla obozu pomajowego wydarzeniem dużej miary. Pozwalało, gdyby autorytetu osoby marszałka Piłsudskiego nie stało, budować ustrój oparty na jakichś fundamentach.

Poczęto więc czynić przygotowania zmierzające do formalnej strony ustroju. Dzielono się nawet ze społeczeństwem nastrojem nabożnym, jaki miał towarzyszyć zebraniom poświęconym dyskusji nad nowymi paragrafami, zapowiadano, iż będą one pisane pięknym językiem... W rzeczywistości nastąpiło niespodziewane uchwalenie drugiej konstytucji, w rok potem trzeciej, uznając tym samym całą niedoskonałość poprzedniej z roku 1934-go. Ustawa z roku 1935-go usiłowała ustabilizować stosunki wytworzone polityką faktów dokonanych w okresie dziewięcioletnich rządów t. zw. popularnie niepopularnej „sanacji". Nowa konstytucja wyciągnęła wszelkie wnioski z ideologji uznającej bezwzględny prymat państwa. Ustrój oparła faktycznie na warstwie pobierającej pensje ze skarbu, czy kas samorządowych, ograniczyła prawa sejmu, wyposażając Prezydenta Rzeczypospolitej we władzę niemal absolutną. Mimo wyraźnego już zamachu na demokrację, nie wyrzekła się jednak frazesu demokratycznego. Wielce charakterystycznym był przywilej w nowej ordynacji wyborczej do ciał ustawodawczych głosowania do senatu dla tych, którzy posiadają dyplom stwierdzający ukończenie studiów wyższych. Wyraźne echo XIX-go wieku.

Konstytucja kwietniowa nie weszła w życie z chwilą jej uchwalenia. W pewnych punktach obowiązywała faktycznie jeszcze przedtem, w innych nie jest respektowana po dzień dzisiejszy. Premier pułkownik Walery Sławek autor jej, nagrodzony za trud i koncepcję orderem „Orła Białego" był najgłębiej przekonany, że obecnie życie potoczy się drogą wytyczoną jego pomysłu paragrafami. Już Wybory do sejmu dnia 8-go września 1935-go roku wykazały, że życie płynie innym nurtem. Nurt ten nadaje życiu narodowemu ton prawie decydujący chociaż w innym, nie oficjalnym znajduje się łożysku. Wynik procesu, jaki się w Polsce dokonywał przez lat dziesięć licząc od daty zamachu majowego. To w narodzie, a kołach oficjalnych daje się wyczuć tęsknotę za rządem autorytatywnych dawnego typu. Przejawem tego był okólnik premiera generała Sławoj-Składkowskiego uznający generała Śmigłego-Rydza za drugą osobę w państwie.

Konsekwencją formalnego uznania szefa armii za autorytet w sprawach państwowych ma być utworzenie obozu rządowego. Funkcję tę powierzono pułkownikowi Kocowi. Nie będziemy zabierać głosu w tej sprawie, obracamy się bowiem jeszcze w sferze plotek i domysłów. Pewnem jest tylko to, że obóz ten formami będzie imitował wzory państw faszystowskich i przejawiać ma tendencje nacjonalistyczne bez zdobycia się jednak na zdecydowane rozwiązanie kwestii żydowskiej.

Tendencje nacjonalistyczne, tak do niedawna obce kołom oficjalnym to blady wprawdzie jeszcze, ale triumf ideologji narodowej dokonującego się w Polsce procesu. Imitacja wszakże form faszystowskich może się okazać słabym punktem właśnie dla tworzonego obozu. Trzeba sobie przecież zdać z tego sprawę, że formy te, niewątpliwa zdobycz w dziedzinie kierowania nawą państwową, są zarówno w Niemczech, jak i we Włoszech dostosowane do ruchów masowych, stojących ławą za zespołami rządzącymi. To jedno, a drugie — owa słabość tkwiąca w każdej imitacji i owa słabość kryjąca się nadmiernym przywiązywaniu wagi do formy.

Proces ustrojowy trwa więc dalej. Nie mamy jeszcze takich spisanych tekstów, któreby były co ćwierćwiecze odczytywane uroczyście i poprawiane. Nie mamy trwałych fundamentów konstytucyjnych i nieprędko je jeszcze mieć będziemy. Są one bowiem przejawem stabilizacji, gdy my znajdujemy się w epoce dynamiki wzrastającej wciąż i na szczęście. B.

CUDUŚ W DŻUNGLI

JEST takie dziwne miejsce w Warszawie, które nazywa się Ipsem (oczywiście mowa nie o wystawie. Przesiadują tam ludzie różnego autoramentu, wieku i przeważnie żadnego urzędu, ludzie bardzo dumni z tego, że się uważają za elitę, choć o tej elicie nikt nie słyszał — i przy rytualnej „pół czarnej" rozprawiają o sprawach bardzo ważnych; oczywiście tylko dla wtajemniczonych. Przepisowa tam jest postawa znudzenia wobec świata, na którym wszystko jest banalne. Postawa lekceważącej wzgardy wobec bliźnich, którzy nie czytali Boya i nie wiedzą, że Krzywicka jest najgłębszą interpretatorką najtajniejszych drgań „jaźni" ludzkiej, czy czego tam. Jest to środowisko, którego nie wypada nazwać kapliczką, bo zadużo tam żydów, ani także *ghettem,* bo znowu nie sami żydzi.

Podobieństwo leży w ekskluzywności, w zajmowaniu się walorami, o których żaden poza zainteresowanymi nie ma pojęcia, w procencie (uczciwszy uszy) osobników przynależnych do grupy semickiej, oraz w poziomie kulturalnym. Ips żyje dla siebie i jest samowystarczalny — zaspakaja wszystkie pragnienia wszystkich swych członków. Nic też dziwnego, że gdy wysoko notowany na giełdzie jako obiecujący młodzieniec, Zbigniew Umiłowski pojechał do Brazylii, gdzie nie ma ani Krzywickiej, ani Boy'a, ani nawet pół czarnej, którą musiał zastępować prawdziwą kawą, oczywiście nie czuł się tam dobrze. Nieszczęśnik wyrwany ze swego środowiska i rzucony na obczyznę, między jakieś, nikogo nie obchodzące (w Ipsie) wychodźtwo, poczuł się nagle jak drzewo z podciętemi korzeniami. Część swojej martyrologii opisał w nader niezajmującej książce pod efektownym tytułem „Żyto w dżungli" [1]). Otwórzmy na chybił trafił w któremkolwiek miejscu:

„Nie wiem co z sobą zrobić. Najchętniej wy-

[1]) Zbigniew Uniłowski: „Żyto w dżungli". Warszawa 1936. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Str. 272 z 32 ilustracjami.

ciągnąłbym się na czemś miękkiem i kopcił papierosy. Wstaję z ławki, łażę po wendzie, natknąłem się na worek z owocami bawełny, staram się tem zainteresować, ale nic! Takie sobie bazie, nie większe od fasoli, w środku—rzeczywiście—bawełna, wata".

„Cicho tu jest, trochę smętnie, dziko, drzewiny jakieś pokraczne, gdzieniegdzie trochę trawy, parę chałup, mała drewniana cerkiew na wzgórzu, w pyle kapliczka polska, gdzieniegdzie pokazują się światełka, czerń nocy przyprósza to wszystko, opada i na duszę, nudzi, ach! jak nudzi" (str. 63).

„Po nieciekawej i męczącej podróży spotykam się tutaj z jakąś marniutką polityczką i atmosferą Lubartowa na jesieni" (str. 23).

„Po kolacji znów słowa: spółdzielnia, szkolnictwo. Siedzę z nimi, przyklejają się do mnie te słówka, omal że nie trzymam stołu tak mnie ciągnie szerokie łóżko Mariankowskich... Z radością myślę, że zaśpię ten nudny, oleisty dzionek mojej podróży po Brazylii" (str. 24).

„Jedziemy dalej niby jacyś partyzanci; i diabli wiedzą czego my tu szukamy w tej ogromnej krainie. Badacze i podróżnicy? A toć przejeżdżamy miejsca zbadane! Może obyczaje? Żeby to chociaż pomieszkać trochę między tymi wszawymi Indianami; ale ktoby to na to miał ochotę! Zwykłe włóczęgi, obijlasy, oto kto my jesteśmy... Ciemnieje, robi sie chłodno, monotonne podrywki na koniu zwalczają zmęczenie, po głowie snują się marzenia; chciałoby się usiąść z czysto ubranymi, dowcipnymi ludźmi, pogadać, pośmiać się... I poco ty się tłuczesz po tych wertepach, młody człowieku? Bieda cię jaka wyrwała z kultury; zdarzenie lub potrzeba? Oh, głupio i mętnie i nieciekawie, jak nieciekawe są te dwa zady końskie, pokryte zwisającymi z ramion moich towarzyszy kapami"(str. 153).

Daremnie szuka biedne, udręczone, znudzone cudowne dziecko z Ipsu czegoś czemby się można zainteresować, coby można nawiązać do owych inteligentnych, dowcipnych myśli czysto ubranych ludzi w dalekiej, wymarzonej Warszawie. Dwie z tych błyskotliwych i niezwykle nowych myśli udało się zastosować do „wrażeń brazylijskich": snobistyczne znudzenie wszelką „robotą społeczną na wychodźtwie", pracą organizacyjną w celu polepszenia stanu duchowego i materialnego emigrantów i naiwny antyklerykalizm. Nie chcę tu wcale przeciwstawiać jednego kołtuństwa drugiemu. Bardzo możliwe, że praca na emigracji jest pod psem, że żerują na niej kombinatorzy, znając trochę stosunki w tych sferach można przypuszczać, że tak jest. Ale znudzona mina cudusia, który zaczyna ziewać gdy tylko zaczyna się mówić o pracy społecznej, szkołach i spółdzielniach jest irytująca. Jeden jest tylko właściwie opis pozytywny:

„Po raz pierwszy w tej podróży, rozmowa przy stole interesowała mnie. We wszystkiem, co mówił Słowik, czuło się czystość i godność myśli przyzwoitego gospodarza i człowieka, którego naturalność stosunku do życia jest czemś niezmiernie solidnem i rozumnem. Opowiedział mi jak tracił i dorabiał się. O Polsce wyrażał się bez obłudnej ckliwości, twierdził, że jest brazylianinem polskiego pochodzenia, że pewien zapasik sentymentu i ofiarności do rodzinnego kraju ma, ale właściwie Brazylia,która go kilkadziesiąt lat po macierzyńsku traktuje, daje mu wolność i poczucie człowieczeństwa i dobrobyt — ta właśnie Brazylia jest rzeczywistą jego ojczyzną" (str. 189).

Podobnie ze stosunkiem do kościoła. Można być ateistą, niewierzącym i nawet walczyć o swoje poglądy. Dziwne tylko, że ten rodzaj człowieka ma zwykle tak nieprawdopodobnie niski poziom. Czytamy znane frazesy o tem jakie to głupie budować kościół, kiedy za te same pieniądze możnaby „postawić jeszcze jedną szkółkę dla dzieci, urządzić boisko sportowe i stworzyć niezłą bibliotekę". Pokazują nam znaną z agitacyjnych druczków galerię księży pijaków, rozpustników i zboczeńczów, słuchamy o tem, jak kobiety chodzą do kościoła żeby popatrzeć na ładnego chłopca w sutannie, a *clou* stanowi wzniosła tyrada cudusia z Ipsu do księdza Kiełty „jak to powinien msze odprawiać, chrzcić, — wogóle w chwilach wolnych zajmować się np. hodowlą pszczół, słowem dawać przykład spokojnym trybem życia, a nie hasać konno z rewolwerem pod sutanną od kolonii do kolonii, wiecować przed kościołem i jednym słowem szerzyć zamęt, jak to ksiądz tutaj czyni!"

A to mu dobrze powiedział!

„A co to nasi chłopi murzyni, żeby do nich misjonarzy posyłać?" Bardzo dzielnie sobie poczynał Zbigniew Uniłowski w roli obrońcy naszego chłopa i spełnił godnie swoją misję w Brazylii. Ale właściwy punkt ciężkości spoczywa na potrzebach fizycznych, a raczej ich braku, dotkliwie odczuwanym przez naszego cudusia i jak to było brudno i co mu dali na kolację, a jak to się urżnął filutek i klął potem brzydko, a fe! I jak to mu głupio i nudno i jak go irytuje to ten, to ów, a najbardziej jakiś bliżej nieznany Grzeszczeszyn mający być postacią reprezentacyjną dla pewnego typu Polaka w Brazylii. Bardzo go gniewa ten towarzysz i ciągle się odgraża, że mu da w mordę, albo że go zabije, a raz nawet wyciągnął rewolwer, kiedy tamten się z niego śmiał i aż trzy strony poświęcił opisom jak to było i coby mogło być i jak to nieładnie i jak się potem wstydził. Grzeszczeszyn, nędzna jakaś kreatura opisana z dużą plastyką i wyraźną satysfakcją grzebania się w tem ludzkiem plugastwie i najbardziej osobiste i fizjologiczne przeżycia autora zajmują przeważną część książki.

Oczywiście cuduś wrócił jako triumfator. Przy którymś tam stoliku bardzo są z niego dumni, że taki inteligentny, że zdemaskował Brazylię, w której właściwie nie ma nic do oglądania.

Wszystkiem tem właściwie nie wartoby się zajmować; chyba jak Uniłowski Grzeszczeszynem, jako „wyobrażeniem osobliwego gatunku ludzi krążących na terenach literackich Warszawy". Sęk w tem, że Uniłowski, jak widać z książki, wcale nie miał ochoty jechać, tylko że dostał przymusowo stypendium i szczytną misję zajęcia się naszą emigracją w Brazylii, rzucenia na nią wytrawnem okiem artysty. Trzeba powiedzieć, że takie zmuszanie ludzi do brania stypendiów wyjazdowych jest conajmniej niezrozumiałe. Czy nie ma już innych amatorów? Czy jest za dużo pieniędzy?

Poco było biedaka wyrywać z zacisznej atmosfery giełdowej,—wysyłać na roczną banicję? Chyba, że p. Uniłowski tylko tak udaje znudzonego i zmęczonogo, dla fasonu. Żeby było inteligentniej, że niby byle czem się nie zachwyca. Żeby podkreślić różnicę między sobą a Grzeszczeszynem, który wszędzie swój nos nieproszony wtyka. Rzeczywiście widok takich dwuch w dżungli musiał być przedni. Wolelibyśmy jednak gdyby go opisywał ktoś trzeci o większem poczuciu humoru.

ANDRZEJ MIKUŁOWSKI

NA WIDOWNI

Sprawa żydowska. — Przytyk i blokada. — Niepotrzebna kłótnia.—Opłakane skutki rozłamu. — Tu musi być zgoda. — Dobrodziejstwa izolacji żydów.

SPRAWA żydowska wciąż się przypomina jako najważniejsza z dzisiejszych i ktoś nawet uparcie zamykający na nią oczy musi ją w końcu dojrzeć. Możnaby jeszcze zlekceważyć apelację przytycką—są ludzie, którzy w gazetach czytają tylko to, co im na rękę — ale nie sposób nie dostrzec ostatnich wypadków na uniwersytecie. Krakowskie Przedmieście zbyt ważną jest arterją w Warszawie, by choć raz dziennie na niej się nie znaleść i nie natknąć na uzbrojonych policjantów i transparenty młodzieży.

O co młodzież walczy? dlaczego robi „awantury" — pyta przeciętny inteligent i często sprawa oddzielnych ławek dla żydów wydaje mu się zbyt błahą, zbyt nieistotną, by dla niej ryzykować studja („młodzież powinna się uczyć") i co tu nawet mówić — zdrowie. A jednak ta żywiołowa chęć izolowania się od żydów jest bardzo istotnym postulatem i wbrew pozorom wcale nie o bagatelkę tu chodzi.

Któryś z mówców przytyckich całkiem słusznie podkreślił, że żydzi są w Polsce sublokatorami i że innych praw mieć nie mogą. Dzisiaj niestety, tak się jeszcze składa, że narazie ich eksmitować nie można, że trzeba ich jeszcze obok siebie czas pewien tolerować. Ale przecież sublokator, to nie to samo co współwłaściciel mieszkania i ono bynajmniej do niego nie należy. Nie ma on więc żadnego prawa do dowolnego w nim się urządzenia, ale musi poprzestać na tym tylko kącie, jaki mu gospodarz wyznaczy. To właśnie ta kardynalna zasada o którą się walczy. Ghetto nie jest więc sprawą bagatelną, zarówno czy chodzi o oddzielną ławkę, czy o przedział kolejowy, czy jakąś strefę osiedleń.

Wogóle czasby już najwyższy zrozumieć, że nie ma, bo nie może być nic bagatelnego, co stoi w związku z żydami. Potworny garb żydowski to prawdziwa zmora życia polskiego i najwalniejsza przeszkoda do jego normalizacji. Bo oczywiste, że normalnej Polski z żydami budować nie sposób. Samą swoją obecnością potrafią oni wszystko zatrzeć, wykoleić. Wszelkie spory w obliczu tej sprawy, nawet taktyczne, są nietylko nonsensem, ale wprost zbrodnią w stosunku do narodu. Jednomyślność strony polskiej jest tu postulatem niezbędnym.

Tymczasem właśnie przykład akademickiej blokady dał nam przykre widowisko kłótni i zwady. Nie chcę bliżej wchodzić w te niemiłe i smutne sprawy, ale faktem niezbitym jest, że wydarzenia końcowe i pierwsze za sanacji (tak do tego przecież skorej) naruszenie przez policję autonomji uniwersyteckiej — były możliwe jedynie tylko w owej atmosferze skłócenia, jaką karygodnie wywołano, i po tem publicznem rozgłoszeniu rozbicia dotychczas jednolitego frontu młodzieży, jakiem była niefortunna deklaracja p. Mossakowskiego, która mojem zdaniem stanowczo nie powinna się była ukazać. Komu sprawiła ona przyjemność, kto na tem zyskał niech świadczy *gaudium* „Robotnika" i szczery *jubel* prasy żydowskiej.

Nie chcę za nic stawać w szeregu tych pisarzy, którzy swemi wystąpieniami dolewają oliwy do ognia. Ta zbyteczna kłótnia powinna stanowczo ustać — nie ma nawet co się spierać, kto tu winę ponosi. Bo jedyną bezprzeczną winą jest rozłam. To grzech pierworodny i na jego opłakane skutki patrzymy. Rozłam z 1934 r. wywołał wszystko i jak każdy zły czyn powlókł za sobą fatalne konsekwencje. Nie można się jednak pogodzić z faktem rozbicia opinii narodowej i sądzę, że trochę dobrej woli a wszystkoby się ułożyło. Gdzie dwóch się kłóci, tam trzeci korzysta, a tym trzecim u nas jest żyd. I umie on kłótnie wywoływać—weźmy chociażby wybory do Rady Adwokackiej, gdzie w ostatniej chwili „Karp" rozbił jedność polską. Znaleźli się więc obrońcy żydów i zrobili swoje... Zabieganie o jedność — oto wdzięczne pole do pracy. Jeżeli ktoś naprawdę myśli o sprawie, to znajdzie słowo zgody, skoro ta zgoda jest narodowi potrzebna.

Zgoda! Zgoda! — Nakrytykowano się już dość tego hasła, bo co prawda to i nadużyć go chciano. Ale zgoda zgodzie nierówna i szablonu w niej żadnego nie ma. Z jednym konieczna, z innym nie do pomyślenia. Lecz jedynym i istotnym problemem, gdzie jej szukać, a gdzie wybrać walkę — to stosunek do żydów i komuny. To jest linja podziału i kogo ona złączy, tam walka jest czemś więcej niż błędem, a wielkie w niej zacietrzewienie prostą zdradą swojego frontu. O tem stanowczo powinni pamiętać wszyscy rozbijacze.

Ale te sprawy są, że tak powiem marginesowe. Z jakąż radością powitam tę chwilę, gdy ich wogóle nie będzie, gdy ambicje, zawiści i urazy ukorzą się choćby na jedną chwilkę przed narodem. Zrobiłbym też nie wiem co, by ją przyśpieszyć. Ale teraz dość już o tem i lepiej wrócić do owej sprawy izolacji żydów, jako istotnej i o którą doraźnie nam idzie.

Izolacja żydów jest konieczna, bo współżycie z nimi jest niemożliwe, a droga spuszczenia się na jakąś wolną grę sił, na jakąś koleżeńską rywalizację — niedopuszczalna. Nie dlatego, broń Boże!, żebym uważał, że jesteśmy słabi, czy że brak nam zdolności do tego rodzaju walki, — ale dlatego, że tam, gdzie mamy do czynienia z inną cywilizacją i wobec tego z inną etyką, inną umysłowością, wogóle najzupełniej innem jestestwem, wszelkie współżycie jest niekorzystne dla każdej ze stron. Przynajmniej dla nas, w rozumieniu naszej cywilizacji, która nie chce być pasorzytniczą i która jest zamkniętą całością sama w sobie. Mamy najzupełniej inny „*quincunx*" (*vide* Koneczny i jego terminologję) i wobec tego nie ma poprostu o czem gadać, skoro wszelka rywalizacja, będąca pewnym sposobem współżycia, wymaga minimalnej choćby wspólnoty. Tymczasem nasza etyka, sprzeczna w każdym słowie z etyką talmudu, uniemożliwia i współżycie i rywalizację w tem współżyciu z przeciwnikiem, który w naszem pojęciu postępuje nieetycznie. Czyż można sobie wyobrazić walkę rycerską z żydami? Nieuczciwy gracz zawsze wygrywa, chociażby niedozwolonym chwytem, a pogodzić się z jego metodami, by mu sprostać, to wyrzec się własnego pionu moralnego i zdradzić siebie. W takiej sytuacji jedynym możliwym wyjściem jest niewdawanie się wogólę w grę. I tak właśnie jest z żydami.

Obrońcy żydów, chcący nie dopuścić do ich izolacji, radzą nam oprócz rycerskiej walki także asymilację, choć dziś ich zapał w tym kierunku naszczęście osłabł. Ale z asymilacją jest to samo co z walką, by ona była dobra, musi być choć *minimum* wspólnoty, a tego nie ma. Co najwyżej owe *minimum*, i to jakież szczuplutkie, łączy Po-

laków z mieszańcami, z produktem owych długich usiłowań asymilacyjnych. Rzeczywiście nieliczni z mechesów dadzą się zasymilować, ale czy to dobre? Czy łączenie sprzecznych pierwiastków nie daje w wyniku zera? To też o ile stop krwi polskiej i niemieckiej tak masowy, choćby na przełomie wieków XVIII-tego i XIX-tego dawał rezultaty dodatnie i naogół bardzo umiejętnie kojarzył zalety obu typów, bez ich wad — to stop polsko-żydowski, trudny i ciężki, nie udawał się z reguły. I choć są dziś rody niegdyś żydowskie a dziś już niewątpliwie polskie, to nie wiele o nich dobrego da się powiedzieć. Trafiały się i tu wyjątki, ale jedynie by potwierdzić całkiem odmienną regułę. Żadna z rzekomych cnót żydowskich u potomków się nie odzywała, a typ polski często był parodjowany.

Wskażę taki przykład, dobry, bo jaskrawy. Jeden z ziemian pochodzenia żydowskiego, ale z krwi już mieszanej, miał wystawiony majątek na licytację przez T. K. Z. Trzeba było zapłacić w pewnym terminie ratę, by do licytacji nie dopuścić — procedura bardzo zwykła w dzisiejszym dworze. To też pan, nazwijmy go X. wezwanie towarzystwa przyjął jako rzecz normalną i z arcyszlachecką (choć nie jest szlachcicem) lekkomyślnością kwitek gdzieś na biurko rzucił i termin przegapił. Narazie był spokój, ale pewnego, pięknego poranka ktoś nieznany zajeżdża przed ganek. Zapytany kto zacz i jaką ma sprawę — poprostu oświadcza, że majątek kupił i przyjeżdża do siebie. Ma przytem rację — wobec niezapłacenia na czas raty, licytacja się odbyła i majątek został sprzedany. Gwałt się zrobił i p. X. by utrzymać się przy majątku musiał zapłacić podwójny stempel i cenę wywołania. Beztroska więc go drogo kosztowała. Oto lekkomyślność tak karykaturalnie szlachecka, że przy niej prusowska sprzedaż wsi w trakcie mazura, mistrzowsko opisana w „Placówce", wydaje nam się czemś niemal rozsądnem i przemyślanem. A gdzież się podział żydowski spryt do interesów, geszeftów, do robienia pieniędzy? Mam wrażenie, że podobnych historyjek wynalazłoby się więcej i takie przykłady możnaby znakomicie pomnożyć. To też, choć musimy się już pogodzić z tą przymieszką krwi semickiej, jaką nam zostawiły ubiegłe wieki — bo nie sposób ścigać chociażby owych rodów frankistowskich i tego co one nabroiły — to jednak wszelkie próby powiększenia tej przymieszki i cały jeszcze bardzo wczorajszy jej nalot stanowczo odrzucimy i tylko prawa dawno nabyte tolerować będziemy.

To są nasze interesy, ale nie sposób nie uznać, że izolacja jest też dobrodziejstwem dla żydów. Zapobiegnie ona szeregowi zbędnych tragedyj. Przypomnijmy sobie jak to p. Słonimski biadał w „Murzynie warszawskim" nad smętną dolą owych zasymilowanych, do których żadne społeczeństwo się nie przyznaje. Czyż więc nie dobrze, że tego już nie będzie, że żydom tę drogę się zamyka? Przecież jeszcze Goethe powiedział, że największem dobrem człowieka jest osobowość; nie trzeba jej więc zatracać, trzeba o nią dbać, ją pielęgnować, trzeba unikać typów nijakich.

A więc — dopóki jeszcze żydzi są między nami, a oby ten czas był najkrótszy!—niech przynajmniej będą osobno, jaknajdalej od nas. To *minimum* naszych postulatów i warunek naszego zdrowia.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

PRAWDZIWI ANGLICY... Jedno z pism angielskich podaje listę napastników na policję londyńską podczas niedawnych awantur, zorganizowanych przez komunistów przeciw faszystom sir Oswalda Mosley'a. Oto one — jak brzmią nam swojsko: Hyman Tennenbaum, Jack Szukman, Mojsze Ben Aron, Harry Brawitz, Sidney Kramer, Jack Feldman, Rawen Wicker, Harry Dorfman, Wolf Franks, Lionel Chersin, Sidney Goldstein, Jack Rajchman, Harry Jakobs, Aron Rotzweig, Benjamin Burgess, Israel Becow, Alfred Lipman, Hyman Kersch, Sally Sass, Joel Joselewicz, Filip Goldberg, Bennet Benjamin, Kiwa Izbicki, Israel Spilberg, Alfred Kofkin.

Dla pełnego wrażenia brak jeszcze nazwiska — Szloma Kiejstut Rappaport. Choć i bez tego domyślamy się już, jakiej to próby „Anglicy" biorą udział w „żywiołowych" manifestacjach ulicznych przeciw faszyzmowi,

PRZYKRE WRAŻENIA CUDZOZIEMCA. Oto, co pisze o nas p. Pierre A. Cousteau. („Je suis partout" — Paryż): najpierw widzi się celników, potem pola z żytem, potem bociany, potem ż y d ó w, a później już nic innego tylko s a m y c h ż y d ó w.

Kulturalnego przybysza niepokoi ich „uniform" czy „dyscyplina odzieżowa" w połączeniu z przytłaczającem wrażeniem ich liczby.

Od opuszczenia posterunku celnego nasz francuski gość ma wprost złudzenie posuwania się m i ę d z y d w o m a r z ę d a m i ż y d o w s k i c h s k l e p i k ó w.

I trapi go pytanie — gdzie są Polacy? Zwłaszcza po przejechaniu Wilna... Grodna... Białegostoku, po złapaniu na taśmę pamięci lepiących się od brudu sklepików żydowskich po wsiach i kiosków w których z pod stert żargonówek nie dojrzysz często polskiego pisma codziennego i przedewszystkiem — Warszawy z jej ghettem.

Na zakończenie powtarza autor słowa wypowiedziane doń na audjencji przez p. wojewodę wileńskiego: „Wśród agentów komunistycznych, aresztowanych na prowincji, 90 procent jest pochodzenia żydowskiego."

SPOŁECZNY KREDYT ŻYDOWSKI. Czasopismo. „Co słychać?" podaje ciekawe zestawienie sum rozprowadzonych w przeciągu lat 1928—34 przez żydowskie kasy bezprocentowe w Polsce.

Ogólna liczba wynosi 101.796.537 zł. W latach 1931/32 — 217.163.93 zł. w r. 1930 — 190.302.69 zł. w r. 1928 — 177.468.36 zł. w r. 1928 — 158.170.00 zł. W r. 1932/33 — 146.886.14 zł. w r. 1933/34 — 130.673.37 zł.

Podczas tych 6 lat udzielono pożyczek 1024417 osobom, a więc na każdą wypadło przeciętnie po 100 zł.

Co na to polskie społeczeństwo? Każdy sobie rzepkę skrobie.

Ponoć z każdym dniem bardziej ta rzepa gorzka.

NAUKA i LITERATURA

WARSZ. TOW. NAUKOWE

W UBIEGŁĄ środę, 25-listopada, odbyło się w sali kolumnowej pałacu Staszyca doroczne zebranie uroczyste Tow. Naukowego Warszawskiego, wobec licznej i doborowej publiczności, ministra i wice-ministra oświaty, rektorów wyższych uczelni etc.

Pierwszy raz po wielu latach złych, usłyszeliśmy z ust szanownego prezesa prof. Sierpińskiego, iż rok ostatni nie był dla Towarzystwa złym pod względem finansowym, a to dzięki subwencjom ministerstwa W. R. i O. P., Funduszu Kultury narodowej, Funduszu pracy, oraz darowi (30 tysięcy franków) Instytutu Francuskiego.

To wszystko umożliwiło T-wu kontynuowanie istniejących oddawna wydawnictw, a nawet zapoczątkowanie nowych, jak również posunięcie naprzód prac nad uporządkowaniem własnej siedziby.

Dowiedzieliśmy się również z przemówienia prezesa, że i pod względem organizacji nauki polskiej wogóle zrobiono ważny krok naprzód przez powołanie do życia Rady Nauk Ścisłych i Stosowanych, mającej na względzie i skoordynowanie wysiłków i zamierzeń naukowych czterech instytucyj: Akademii Umiejętności, Tow. Nauk. Warsz., Tow. Nauk we Lwowie i Akademii Nauk Technicznych.

Do zadań powyższej Rady będzie należało służyć rządowi fachową pomocą w sprawach, związanych z potrzebami państwa w zakresie rozwoju nauki oraz jej zastosowania.

Następnie sprawozdanie z działalności T-wa odczytał sekretarz generalny, prof. Mazurkiewicz, ogłaszając w końcu nader obfitą listę świeżo wybranych członków zwyczajnych i korespondentów miejscowych i zagranicznych.

Uroczyste zebranie Tow. zakończył świetnym wykładem p. t. „Kultury narodów romańskich wobec kultur Północy i Wschodu" prof. Stanisław Wędkiewicz. W końcu swego wykładu prelegent położył nacisk na fakt niezwykle niekorzystny dla romanistyki w Polsce, gdzie pokutują dotychczas na uniwersytetach jej ogólne katedry, co zmusza profesorów do wykładania o wszystkich literaturach romańskich, podczas gdy ogromna specjalizacja naukowa w tej dziedzinie wymaga oddzielnych katedr dla każdej z nich.

Miejmy nadzieję, że i pod tym względem nastąpi w niedalekiej przyszłości poprawa, tymczasem stwierdzić należy z zadowoleniem, że nareszcie katedra romanistyki uniwersytetu stolicy Polski pozyskała uczonego, stojącego na wysokości trudnego i rozległego zadania. J.

„OKNA" PAWLIKOWSKIEGO

JESTEŚMY świadkami zjawiska niezmiernie charakterystycznego dla czasów obecnych. Rynek księgarski zalany powieścidłami, w których głupota treści rywalizuje z idiotyzmami języka i zupełną ignorancją w rzeczach gramatyki. Na półkach księgarskich pełno tandetnej publicystyki z różnych dziedzin wiedzy. Niejeden natomiast literat, piszący z sensem i doskonale po polsku, nie może znaleźć nakładcy.

Wybitni historycy trzymają od lat rękopisy w tece. To też, gdy ukażą się takie studia jak „Norwid" bądź „Aspazja i Alcybiades Zygmunta Wasilewskiego albo szkice Michała Pawlikowskiego, oczywista, że nie inaczej ujrzą światło dzienne w szacie książkowej, jak „nakładem autora". A dla autorów tego pokroju, jest to w czasach dzisiejszych swoistego rodzaju odznaka honorowa.

Ród Pawlikowskich, to piękna karta w dziejach kultury polskiej. Atmosfera ich rodzinnej siedziby Medyki, bądź zakopiańskiego domu „Pod Jedlami" pełna jest wspomnień związanych z nazwiskami, co stanowią całe rozdziały w historii naszej literatury: Kornel Ujejski, Seweryn Goszczyński, Asnyk, Chałubiński, Kasprowicz, nie mówiąc już o muzyce czy malarstwie. Stary ród, żyjący zdawna ekspansywnem życiem duchowem pozostawia zawsze po sobie szereg pamiątek natury materialnej, a gdy ciągłość poziomu życia i jego stylu nie przerywa się, następne pokolenia jakże łatwo na wiązać mogą do żywej tradycji, aczkolwiek dziadowie i pradziadowie dawno już leżą w grobie. Wystarczy wydobyć z szafy jakiś rocznik starego pisma i przeczytać w jakimś numerze z przed stu przeszło lat jakieś doniesienie teatralne czyli poprostu afisz koncertu, w którym udział biorą tacy światowej sławy muzycy, jak Karol Lipiński i W. A. Mozart *fils*. W tymże koncercie występuje także i panna Blacha czyli siostra rodzona pani Krystyny Grottgerowej, dalej pan Konstanty Pawlikowski czyli brat pradziada pana Michała Pawlikowskiego, autora „Okien"...

Z żółtej czereśniowej szafki, która była własnością pewnego młodego chłopca, co się zwał Juliusz Słowacki, autor „Okien" w szarą godzinę wyjął oto jakiś świstek papieru, jakąś karteczkę pożółkłą ze starości. Na niej podpis: L. Szpicnagiel.

A wiecie kto był Szpicnagiel? — przyjaciel młodości Słowackiego, genialny wprost chłopiec. Jeśliby nie przewyższył, to conajmniej dorównałby naszej trójcy wieszczów. Niestety...

„Potem wielkie strzemienne podano kielichy
Żegnał się—za łzy dawał wesołe uściski,
Odszedł. Wtem ucztujących strzał przeraził bliski—
Tłumem biegliśmy w jego komnatę—już nie żył".

A o co poszło? — przeczytajcie prześliczny zbiorek „Okna", a dowiecie się, szanowni czytelnicy.

Medyka pełna jest pierwszorzędnych wspomnień i o Kornelu Ujejskim. Jak z prostotą powiada Pawlikowski: „W Medyce jest cały Kornel". Jest autobiografia, setki listów, rękopisy wierszem i prozą... Słowem są niezmiernie cenne skarby naszej literatury.

A jakaż to niezwykle ciekawa postać ten Kornel Ujejski, wielki poeta i człowiek niepospolity, a jakże mało znany przez pokolenie obecne.

Tragiczna była jego miłość do Leonii Wildowej, ale z tego zdroju wytrysły przecudne erotyki. Oto jeden z nich:

Ach, kocham ciebie na wieczność, na wieczność,
I nie przez stałość ale przez konieczność.
Kocham—sam nie wiem dla czego i jak,
Jak pluska ryba i jak lata ptak,
Tak kocham ciebie!

Kornel Ujejski był w bardzo bliskich stosunkach z rodzicami Pawlikowskiego. Razu jednego Ujejski zdeponował u pp. Pawlikowskich we Lwowie olbrzymi plik różnych rękopisów, kiedyindziej znów przywiózł do Skolego sporą walizkę starych brulionów i manuskryptów. „Czas mijał, Ujejski się do odczytywania swoich szpargałów nie zabierał. Wreszcie powiedział, aby mama sama czytała głośno, co tam lepszego znajdzie. Siadła tedy w salonie przy stole okrągłym, a Ujejski z papierosem chodził tam i z powrotem. Odłożywszy stos brulionów, w których niczego znamiennego nie znalazła, nagle przeczytawszy jakąś kartkę, woła:

— Jakiż cudny sonet! Wspaniały!

— Co za jeden? Ma tytuł?

— Ma: „Do Julii".

— Do Julii?!! — powtórzył Ujejski z najwyższem zdumieniem.

— Tak, do Julii...

— I moje pismo?

— A jakże! Cóż to za Julia?

— A diabli ją wiedzą! Strzel w łeb..."

Ród Pawlikowskich ma piękne tradycje literackie i rycerskie. Można czerpać pełnemi garściami. A czerpiąc, mimowoli zastanawiamy się nad tem, jak to powstaje kultura rodziny, rodu, społeczeństwa i narodu...

Piękna książeczka. Należy ją przeczytać, co więcej, przeczyta się ją z prawdziwą przyjemnością. W. W.

RUCH WYDAWNICZY

„Księga pamiątkowa Koła Płocczan". Warszawa. Koło b. wychowańców szkół ziemi Płockiej, str. 320.

Najwierniejszy obraz Ojczyzny uzyskujemy, szukając rodzimego piękna w najcelniejszych klejnotach jej korony. Takim klejnotem — Płock starodawny, a że nie zgasły, nie zmatowiały, niech świadczą niniejsze dzieje szkolnictwa i ruchu umysłowego tego miasta, na sporym wycinku czasu ukazane.

Na całość pakownej książki złożyły się conajtęższe pióra, bo i czarująco lekkie, powabne w swym liryzmie dzieciństwa „Ze szkolnych czasów" Jana Lemańskiego i pełne. znanej nam skądinąd, szlacheckiej, gawędziarskiej swady „Kolegom szkolnym" Ignacego Okszy Grabowskiego, i wreszcie „Dzieciństwo" Aleksandra Dębskiego czy choćby prof. Ludwika Krzywickiego „W gimnazjum Płockiem. Wspomnienia z lat 1871—1877".

Niezmiernie również ciekawy artykuł Stefana Dembego—„Bene Merentes. Dobrze zasłużeni z Ziemi Płockiej" — przekazuje dla potomności pamięć wspaniałych czynów, związanych na wieczność z biskupim grodem, zobrazowanych w tem, jakże rozciągłem, od imion nabrzmiałem, rozpięciu postaci i wieków: od legendarnego Żórawia Bolesławowego do wypłowiałego sztandaru płockich ochotników podczas bolszewickiej nawały.

„Jak zaklęte czasem bóstwo
Przeszłość wraca w jawu kraje..."

Dlatego przypominamy o tej książce przed laty wydanej. (ST. J.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W połowie listopada odbyły się wybory do Akademii Francuskiej na wakujące cztery fotele wskutek śmierci J. Cambon'a, P. de Nolhac'a, Henri-Robert'a i H. de Régnier'a. Kandydatów zgłosiło się mnóstwo, wśród nich jednak nie było imion głośnych, znanych już nie tylko w świecie, lecz nawet szerszemu ogółowi Francji. Wybrano admirała Lacaze'a (fotel po Cambon'ie), biskupa Grente'a (po Nolhac'u) i I. Lacretelle'a (po H. de Régnier). Na czwarty fotel, po znakomitym adwokacie Henri-Robert z sześciu współubiegających się, nikt nie został wybrany. Wśród nowych nieśmiertelnych znalazł się jeden powieściopisarz — J. Lacretelle, autor kilku powieści, dookoła których było w swoim czasie sporo hałasu („*Silbermann*", „*La Bonifas*" i t. p.). W ostatnich kilku latach wydał kilkatomową powieść (drukowaną w „*Revue des deux Mondes*) p. t. „*Les Hauts-Ponts*". Lacretelle jest najmłodszym członkiem Akademii Francuskiej, gdyż ma 48 lat.

*

Sfery literackie Francji przypomniały współczesnym, iż w roku bieżącym przypada trzechsetlecie urodzin wielkiego „prawodawcy parnasu", Boileau.

Z tego powodu mówi się dużo w prasie francuskiej — o zasługach autora „*L'Art poétique*", a niektórzy nawet uważają, iż stworzony przez niego kodeks twórczości poetycklej jest niezniszczalny, odpowiada bowiem naturze rzeczy. Uznając to, co było w jego przepisach literackich zdrowego i wieczystego, niepodobna jednak zapomnieć o tem, że cokolwiek był zaciasny, wierzył tylko w zdrowy sens i nieznosił wyobraźni. W krytyce swoich współczesnych (wyjąwszy przyjaciół: Racine'a. Molière'a, La Fontaine'a) szedł za daleko, ale trzeba mu przyznać, że często miał słuszność. Wiersz ośmieszający powieściopisarza Scudéri'ego, dziś jeszcze mógłby być z największą słusznością zastosowany do wielu dzisiejszych romansopisarzy, zwłaszcza do tych, co piszą t. zw. „powieści-rzeki" („*roman-fleuve*"), przytaczamy go tu:

„*Bienheureux Scudéri dont la Muse facile, peut tous les mois sans peine enfanter un volume. Tes écrits il est vrai, sans arts et languissants, Semblent être formés en dépit du bon sens. Mais ils trouvent, pourtant quoi qu'on en puisse dire, un marchand pour les vendre et des sots pour leslire*".

W naszem życiu literackiem Boileau, jak wiadomo, odegrał również poważną rolę, jubileusz więc jego znajdzie więc oddźwięk wśród tych, co studiują dzieje naszej poezji. (W. J.)

MUZYKA

FILHARMONIA—Willy Ferrero i Jacques Thibaud. Dwa dobre nazwiska, a do tego szczęśliwy dobór wykonywanych utworów: Haendel, Beethoven, Wagner i Ravel, oraz Antoni Veretti (suita *c—dur*).

Ferrero to dosłownie urodzony dyrygent. Ma się wrażenie, że najlepiej się czuje, gdy może przewodzić orkiestrze, panować nad nią, narzucać swoją koncepcję, naginać do swojej interpetacji. Orkiestra stanowi niezwykle ciekawe ciało zbiorowe, jeden żywy instrument. Ferrero, zda się, rozumie doskonale istotę zespołu symfonicznego, co, oprócz wrodzonej muzykalności i najszczerszego talentu, pozwala mu na tak zadziwiający kontakt, porozumienie nieumówione, dające w wyniku całą masę wrażeń i odczuć. Czy dyrygent narzuca swą interpretację i słuchającym — to pytanie, kwestia do dyskusji. Odpowiem wymijająco, a jednak prawdziwie: i tak i nie. Słuchającego nie obowiązuje karność scalająca grających w jedno — ciężar gatunkowy odczucia (jeśli tak można powiedzieć) zależy od ciężaru gatunkowego jednostki. A jednak *magna pars* jest i odtwórcy.

Zjawisko wielce ciekawe stanowi owo jakby poza świadomością tkwiące podporządkowywanie się kierownikowi, siła sugestii autorytetu, nazwiska. Nieraz to można zauważyć — zauważyliśmy dobrze w ostatni piątek; preludium do Oratonim „Salamon" Haendla, czy jakże inny fragment ravelowskiego baletu „Daphnis i Chloe" brzmiały równie dobrze, dając odczuć piękno sztuki tak rozmaicie pojętej i w tak różnych, jeśli idzie o styl, smak, estetyczne kanony, epokach powstałej.

Jacques Thibaud odegrał dwa koncerty skrzypcowe Bacha i Mozarta. Już sam wybór najlepsze o artyście daje pojęcie. Z zadania wywiązał się, jak zwykle, znakomicie. Nie starał się wybić przede wszystkim i na plan pierwszy wysunąć swojej techniki; ustalona opinia, zasłużona, dodajmy opinia sprawia, iż popis techniczny schodzi tam na plan drugi, jest, jak być powinno, środkiem nie celem.

Nikt, może, żaden z wielkich twórców nie wzbudza we mnie tyle szacunku dla muzyki, co właśnie Bach. Nie wyobrażam sobie, by zezwolił komu kiedykolwiek na najmniejszą choćby dozę blagi. Gdy jaki płytki, pozbawiony kultury wirtuoz pragnie np. z „*Chacon*" zrobić popisową sztuczkę, chce mu się krzyknąć: „Kłamiesz!" W swym rygoryzmie Bach jest tak niezwykle surowy, że aż zatrąca wprost o ascezę. Kiedyś pisałem, że porównują go z gotykiem. To gotyk niemiecki zakwitł cudownie wówczas, gdy gdzieindziej królował już w pełni zmysłowy charakter sztuki pośredniowiecznej. I może owo skojarzenie daje ów szlachetny dźwięk pełnego talentu dla którego mamy omal że nie pogańskie uwielbienie...

TEATR „8.15" — „Gaby", komedia muzyczna Grüna.

Na przedstawieniu znalazłem się zupełnie przypadkowo i rzecz, jak się okaże, nie warta nawet trzech słów recenzji, ale sam spektakl, wcale przychylna ocena prasy, oraz powodzenie świadczące o prymitywnym smaku publiczności zmusza do chwilowego choćby zastanowienia.

Przedewszystkim ten snobizm: komedia muzyczna, a nie poprostu operetka, snobizm niczym doprawdy nie usprawiedliwiony, bo to wszystko wcale nie lepsze, przeciwnie — sto razy conajmniej gorsze.

Przyznam się, że dla operetki miałem trochę, odrobinę sympatii, aczkolwiek nie wiążą mnie z nią żadne wspomnienia (poprostu jestem za młody). Ceniłem w niej wątek dramatyczny, oraz rodowód, wywodzenie się wprost z opery komicznej, wreszcie styl, ten styl, który dzisiaj potrafi doskonale rozśmieszać. Rewia — skojarzenie przedsiębiorstwa ze sztuką, pyszna swoją wystawą pochłaniającą krociowe sumy, rewia aż przesycona blaskiem, jakiś Broadway'owy barok, dobra zupełnie i na miejscu za oceanem, była u nas, w Europie czymś bardzo obcym, zawleczonym tą drogą

którą czasu wojny szły wojska odziane w mundury koloru *khaki*, jechały konserwy, biszkopty, buty, odzież, mleko skondensowane i t. p., i t. p. Jeszcze w *„Casino de Paris"* czy *„Folies Bergeres"*, preparowana dla etranżerów ze Stanów była czymś wcale udanym — u nas nie przetrwała nawet kilku lat. Na przepych brak było pieniędzy, tani szych szybko zaczął razić właśnie swoją tanością, wreszcie uczuto dotkliwy brak wątku dramatycznego. Jeszcze się u nas resztki rewii wałęsają jako dodatki do kina, albo bawią, ale już jako artystyczne kabarety — tyle zostało z tego gatunku sztuki scenicznej... Bardzo mało.

Zapowiedź operetki, czy komedii muzycznej, wszystko zresztą jedno, powitałem przychylnie (wiecznie na koturnach łazić nie można), tymczasem ...Żeby ze sceny operowej zejść do tego rodzaju scenek, to już doprawdy niewiadomo dlaczego. A więc: w treści szablon, stary, mocno wytarty (jak to się mówi) szablon: węgierskie dziewczęta, szalona miłość, dyrektor rewii z książeczką czekową w ręku, Paryż a potem Wiedeń. Oprócz tego znana ekipa tkniętych mocno paraliżem postępowym lowelasów, dwóch huzarów i król, rad, że mu modna republika zwaliła kłopot z głowy w postaci korony i zezwoliła tym samym na mariaż z „gwiazdą" rewiową. „Moda" republik wskazuje dokładnie na czas, w którym takie cuda, jak „Gaby" powstawały... A może to tylko skrojone według starego wzoru? Gdyby tak było! Mielibyśmy przynajmiej coś warte, stylowe przedstawienie. Tymczasem na scenie rozpanoszyła się nieprawdopodobna wprost tandeta, popis całkowitego upadku smaku, jakiej takiej dbałości o stronę etyczną. Dla kogo to wszystko? Ano — dla tych widzów, co to ławą zasiedli widownię i bili oklaski. Warstwa t. zw. inteligencji.

Ze wszystkich prymitywów, prymityw gatunku drobnomieszczańskiego jest chyba najgorszy. To nie wysokiej jakości w drzewie rzeźbione świątki czy gliniane, jarmarczne kukły, ale ramki z muszelek i bambusowe mebelki z włóczkowymi pomponikami, pocztówki przybite w wachlarz do ściany, kwiaty z bibułki. Tego to właśnie smaku dała nam zakosztować Lucyna Szczepańska w swoim teatrzyku „8.15". Taki smak, jak się okazuje, ludziom... w smak. Niewesołe.

A najlepsze z tym Waraszdinem, którego w kolekcji akcesoriów operetkowych oczywiście nie zabrakło. Waraszdin od czasu „Królowej Maricy" stał się modny („Ach jedź do Waraszdin, tam ci się urodzi syn" — perspektywa, jeśli idzie o przygodną miłostkę, przyznajmy, nie najbardziej frapująca...), więc i „Gaby" rozpoczyna się w europejskim Caliente— Waraszdinie, co to niby „...miejscem jest miłości". Bujda. Nie wierzcie i nie dajcie się nabrać. Waraszdin odgrywa obecnie taką rolę, jak u nas Bereza. Jest tam poprostu obóz izolacyjny, no więc... nie żadne znowu miejsce do kochania.

Mimo kilku wcale niezłych motywów, wychodząc nucimy motyw, ale z „Maricy": „Ach jedź do Waraszdin!.." Jedźcie wszyscy, za podobne przedstawienia! Wsadzają za cegły (wprawdzie tylko na dwa dni), dlaczegóżby nie mogli za wykoszlawianie smaku?

Nie są to jednak tylko żarty; możliwość podawania takiego prymitywu i życzliwe go przyjęcie, nasuwa smutne refleksje. Wprost przeraża.

W. NARUSZ

LISTY DO REDAKCJI

O SIENKIEWICZU

Zdziwi się Pan otrzymując pismo od osoby zupełnie mu nieznanej, lecz po przeczytaniu ostatniej „Myśli Narodowej" (nr. 47), oraz wzmianek i wspomnień o ś. p. Sienkiewiczu, przyszła mi myśl, aby napisać do autora „Na widowni" i przesłać trochę wiadomości, może mało, lub wcale mu nieznanych, a mogących kiedyś posłużyć jako materjał biograficzny do roli ś. p. H. Sienkiewicza jako obywatela ziemskiego, dziedzica Oblęgorka i rzucający światło na stosunek jego do sąsiadów, gospodarzy-chłopów małorolnych Pamięć jego świetlanej postaci do dziś promienieje, między tymi, którzy mieli szczęście z nim obcować.

W tym roku, w lecie miałam dziwne zdarzenie. Otrzymałam list od ojca mej służącej, gospodarza rolnika z Oblęgorka (wsi graniczącej z Oblęgorkiem, własnością Henryka Sienkiewicza), list szczególny, napisany pismem niekaligraficznem, ale uderzający dobrą staropolszczyzną, słowami jasnemi, zwięzłemi, wyrażającemi troskę ojca o los córki, zmuszonej pracować poza domem, proszący o opiekę moralną, radę w troskach, czuwanie nad niedoświadczoną — a wymagającą od niej pełnienia przyjętego obowiązku. Wogóle list niezwykły, co do treści i stylu, pełen zaufania do osoby możnej i winnej dać tę opiekę.

W parę miesięcy potem moja ta służąca zachorowała poważnie. Zawiadomiony ojciec przyjechał ją odwiedzić. Zaciekawiona tą osobą, wezwałam go, rozmawiałam dużo i zdumiona byłam zachowaniem, szlachetną postawą, dobrem wysłowieniem, oczytaniem, wyrażeniami, stylem niemal Skargowskim. Z zainteresowaniem dużem słuchałam opowiadania o „panu Sienkiewiczu", który „lubiał z nami rozmawiać", rady dawał, na wszystkie zapytania tak mądrze odpowiadał, że my potem między sobą o tem długo rozmawiali.

Na nabożeństwie w kaplicy domowej bywali owi sąsiedzi, a sprowadzony ksiądz po odczytaniu ostatniej Ewangelii zawsze dodawał: „a teraz jeszcze p. Sienkiewicz powie wam parę słów..." Tych kilka słów trwało nieraz kilka godzin tak chętnie słuchanych, że oderwać się nie mogli słuchacze. „Uczył nas", na pytania chętnie odpowiadał, które my dziś do tej pory omawiamy, tłomaczymy, co to miało znaczyć.

Odniosłam wrażenie z tych opowiadań, że do dziś pozostał tam kult dla ś. p. Henryka Sienkiewicza i wpływ tak dodatni, iż jest wiecznym tematem do rozmów, komentarzy np. pilnie był obserwowany, jak wpadał w ekstazę: „...wpatrzony nieruchomo w słońce, jakby tam niebo widział, czegoby „z w y k ł y c z ł o w i e k" nie mógł zrobić".

Trudno opisać tę całą rozmowę, lecz zostało mi niezwykłe wrażenie opisu postaci „pana Sienkiewicza" i tej żywej pamięci, jaka tam pozostała. Biblioteka przez niego stworzona do dziś dobrze prowadzona (przez syna dokompletowana), chętnie jest czytana, członków przybywa i stowarzyszonych, których dziś liczą na setki (niska opłata była ustanowiona na zakup dobrych książek).

Nie wiem, czy te szczegóły są znane — jeśli nie, czyby się nie znalazł ktoś, ktoby te wspomnienie zebrał od żywych tworów ducha Sienkiewiczowskiego. Dopóki żyją ci naoczni świadkowie i pamiętają te „pogawędki", które po 20 latach jego śmierci są tematem rozmów, dysput, myśli i poglądów żywo opowiadanych i zapowiadanych. Maluje to dosadnie czar jego słowa i magiczny wpływ, jaki wywierał nietylko na ludzi inteligentnych ale i na proste umysły A może ten wielki obywatel kraju okazałby się w nowem nieznanem świetle apostolstwa dla tych, na których ma się oprzeć Polska przyszłości?

Proszę mi wybaczyć zbyt długie pismo, lecz niech mnie tłumaczy szczególny kult, jaki mam dla Sienkiewicza i jego twórczości, kult, który przejęłam od mych najbliższych, mej ś. p. babki (krewnej Cieciszowskich) od zarania mego dzieciństwa i wspomnień najdawniejszych, gdy to wszyscy oczekiwali gazety z poczty, aby przeczytać ostatni n-r „Ogniem i mieczem".

M. MICEWICZOWĄ

DYSKUSJE

ZABAWY W BUENOS AIRES

ISTNIEJE jeszcze taka instytucja, która się zwie *P. E. N. Clubem.* Rozkwitła w okresie silnej reakcji pacyfistycznej w pierwszych latach powojennych, zgromadzając w jednej organizacji pisarzy całego niemal świata, pisarzy hołdujących hasłom wyrosłym z faktu wielkoburżuazyjnej rewolucji francuskiej końcowych lat wieku XVIII-go, hasłom tryumfującym szczególnie w wiek później a dzisiaj będącym już u schyłku swego bezwzględnego panowania.

Moda zakładania rozmaitego rodzaju międzynarodówek, mających nieść ludziom pokój i kwietystycznie, sybarytystycznie pojęte braterstwo, brała wzory z wilsonowskiej Ligi Narodów. Wzór okazał się nienajlepszej jakości—cóż dopiero mówić o naśladownictwach! Możnaby powiedzieć najdziwniej, że straciły one wpływy zanim wogóle poczęły je posiadać.

P. E. N. Club jednak działa. Dowiadujemy się o nim co pewien czas z racji zjazdów międzynarodowych, na które jadą delegaci pełni najlepszej wiary w posłannictwo tej instytucji i swojego na jej tle apostolstwa—wracają zaś rozgoryczeni z racji oglądanego na własne oczy kabotyństwa, marnowania czasu na wycieczki krajoznawcze, przyjęcia i jałowe, bezładne dysputy prowadzone w kilku naraz językach, bo zbyt mało internacjonalnym duchem przejęci delegaci rozmaitych krajów, żądają prawa przemawiania w swoim języku.. Ot obrażona, karygodna, potępiona duma narodowa.

Poprzednim razem polski *P. E. N. Club* reprezentował Antoni Słonimski. Nie zaprzeczam — dobra kandydatura więcej — najlepsza. W tym roku sprawozdanie na łamach „Wiadomości Literackich" składał Jan Parandowski. Z nim to, lub za pośrednictwem jego artykułu z całą międzynarodówką literacką spróbuję nieco podyskutować.

Powiedziałem: „...pokój i kwietystycznie, sybarytystycznie pojęte braterstwo..." Dowód? „Na kongresie w Edynburgu dyskutowano sprawę wojny, zachowania się pisarza w chwili jej wybuchu..." Jakież wnioski? Pochwała dezercji, tchórzostwa, „protestu przeciw...", oporu dowództwu, samobójstwa z racji „bratobójstwa"? Tak dalece to już chyba nie... Życie, bowiem, życie za wszelką, najdroższą cenę (potaniałą wprawdzie na skutek cynicznego „przewartościowania wartości")—jest hasłem największem.

„Spod znaku krzyża czy znaku młota,
Ciało młodzieńcze, kulą rozdarte
Od pysznych domów, świątyń ze złota
Więcej jest warte". (A. Słonimski).

Kongres tegoroczny znowu uparcie powrócił do sprawy wojny. Kompleks wojny przeradza się już w prawdziwe maniactwo. A tymczasem pisarz naprawdę walczący w pewnym momencie chwyta za broń, by realizować swe założenia, chociażby to był nawet skamlący, jak w „Czasach pogardy" André Malreaux.

Tekst uchwalonej w Buenos Aires deklaracji:

„Twierdzimy, że wszelka wojna jest klęską, że w żadnym wypadku niepodobne od niej oczekiwać jakichkolwiek dóbr moralnych, że tą, która obecnie grozi można odwrócić, a jeśliby na nieszczęście wybuchła — byłaby bez usprawiedliwienia.

Niechaj wszyscy rozważą, że wielki konflikt r. 1914 nie był zdolny rozwiązać żadnego z problemów, które go wywołały, że pozostawił same tylko ruiny, a zamiast rozstrzygnięć—jeszcze bardziej bolesne zawiłości.

Nikt nie ma prawa przypuszczać, aby nowa wojna przyniosła jakiemukolwiek narodowi korzyści materialne, i jest okrutnym błędem sądzić, że spór doktryn politycznych i społecznych, które dziś dzielą świat na wrogie obozy, jedynie wojna może rozstrzygnąć, i że jest ona nieodwołalna. Taki pogląd skazuje naszą epokę na obłęd nowych wojen religijnych. Wiadomo zaś, że wojna religijna zawsze tylko pogłębiała i utrwalała nienawiści, nie dając wzamian żadnej władzy nad sumieniami. Ogień i miecz rządzą ideałami. Jedynie w pokojowej ewolucji świata i w swobodnej pracy myśli, sprzeczne doktryny powinny ubiegać się o zwycięstwo, wyłamać z siebie tę część prawdy, jaką mogą zawierać, i wcielać ją wedle możności w nowy porządek rzeczy.

Kiedy jest jeszcze pora, aby uniknąć ostatecznych omyłek, pisarze całego świata w poczuciu własnego posłannictwa wskazują kierownikom ludzkości ich odpowiedzialność dziejową itd. itd.

Zwracamy uwagę na słowa: „Obłęd nowych wojen religijnych" i „Nikt nie ma prawa przypuszczać, aby nowa wojna przyniosła jakiemukolwiek narodowi korzyści materialne". Co za upokarzające dla każdego pisarza słowa! Co za upadek i jakże doskonały dokument czasu! Ludzie mający pretensję do przodowania i prowadzenia w dziedzinie ducha usługi swe oddają przedewszystkiem na obronę dóbr materialnych... Przynajmniej jasne, niedwuznaczne. I za to brawo. Za to i za wygwizdanie Marinettiego. Bo poco ten wlazł z całą włoską delegacją w to towarzystwo i jeszcze je na rok przyszły do siebie, do Rzymu zaprosił, to już, doprawdy zupełnie niewiadomo. Że Jules Romains rządził się tam jak szara gęś—rozumiemy. Gdzie się miał, u licha, kręcić, jeśli nie tam właśnie? I że zapytał Marinettiego czy kpi sobie z siebie, czy z nich, to również miał rację. Jaką rację! Okrzyki Ungarettiego pod adresem Romainsa: „*Canaille*!", „*Cochon*!" zupełnie w tym wypadku niesłuszne, zdenerwowanie jednak usprawiedliwione. Zupełnym już jednak niesmakiem przejmuje człowieka całowanie się przy kolacji tegoż Ungaretti'ego z, przed paru jeszcze godzinami, „*cochon*" i „*canaille*". Parandowski widząc owe całusy powiedział z zachwytem i nie bez emfazy: „*Voila les miracles de P. E. N. Club!*" Może. Wobec tego nie zazdroszczę.

...i wszystko by się zakończyło jaknajlepiej, gdyby... gdyby Duhamel nie zgłosił swego wystąpienia na skutek tej całej awantury z tego całego *P. E. N. Clubu.* Właśnie Duhamel! „...członkowi Akademii Francuskiej nie przystoi uczestniczyć w obradach poniżających się do słów grubiańskich i obelżywych". Wszyscy jakoś zapomnieli, że „nieśmiertelni" mają przywilej noszenia nietylko zielonych fraków, ale i szpad... Inne akademie przejęły i fraki (czarne) i gwiazdy i palmy i fotele i nawet wytworzyły wokół siebie atmosferę anegdot i dowcipu (oczywiście cudzego, godzącego w nie właśnie), — ba! Sławą się międzynarodową poczynają okrywać. („*Un scrittore polacco academico, democratico e plagiaro*", „*Clen polske academie vykradal britskeho filosofa*" i t. d.) Nie przejęły tylko nieśmiertelności i szpad.

Ale skończmy z dygresją.

Ostatni kongres *P. E. N. Clubu* obradował pod hasłem mającem pozornie wiele słuszności—idźmy dalej—całą słuszność: „Nie ma literatury przeciw wolności", tylko... tylko, co to jest wolność? Tak—co to jest wolność?

Usłyszę zapewne złośliwą odpowiedź, że „...panu jest definicja potrzebna, nam nie", a jednak gdybyśmy spróbowali na ten temat zamienić parę choćby słów, słowa te rosłyby w nieskończoność. I okazałoby się, że ja mam rację.

W tymże samym numerze, w którym Parandowski składał sprawozdanie z uroczej wycieczki zaprószonej godzinami obrad, pisał Słonimski w swojej kronice tygodniowej.

„Czy kultura ma się poddać ulicznej demagogii? Czy literatura ma się poddać wymaganiom polityków? Ta wojna, która kiedyś musi się skończyć zwycięstwem, przechodzi okres niezbyt pomyślny dla naszego pokolenia, wydanego na pastwę przerażających sił i namiętności".

Znowu, jeszcze raz powracam myślą do kongresu. „...czy literatura ma się poddać wymaganiom polityków?..."

Cały stek niekonsekwencyj. A może jest to właśnie broniona wolność?

JAN BAJKOWSKI

POKŁOSIE

DIABEŁ SŁUŻĄCY DOBREJ SPRAWIE

JEST gadka francuska o diable, który odpowiednio zażyty, znosi kamienie na budowę kaplicy. Kto wie, czy nie powie ktoś tak o rządzie Leona Bluma i wniesionym przezeń do parlamentu projekcie nowej ustawy prasowej.

Lewica we Francji już od dość dawna nosiła się z zamiarami ograniczenia przez odpowiednie ustawy wolności prasy, która ma tam istotnie zarówno prawnie, jak i zwyczajowo bardzo wielką swobodę. Projektowane ustawy ograniczające motywowane były zawsze nadużyciami, jakich się prasa dopuszczała zwłaszcza na czci osób biorących udział w życiu politycznym, lecz celem istotnym była niewątpliwie chęć skrępowania wolnej krytyki; projektów takich było w ostatnich latach kilka, lecz żaden nie wyszedł ze stadium przygotowań, a to wskutek zgodnej opinii przeciwnej. Obecnie samobójstwo socjalistycznego ministra Salengro, wywołane przez postawienie mu hańbiących zarzutów co do postępowania w czasie wojny, a jak twierdzi lewica zaszczutego przez oszczerczą kampanię przeciwników politycznych, dostarczyła rządowi Bluma pożądanej okazji do wniesienia swego projektu i uzyskanie dlań poparcia rozkołysanych czerwonych mas.

Projekt nie ogranicza się do zaostrzenia przepisów i kar, wymierzanych za dyfamację i oszczerstwa, lecz wkracza poważnie w samą organizację wydawnictw prasowych i tu właśnie są te jego strony, które mogą się okazać pomyślne dla zdrowia opinii.

Według nowych przepisów ma być osiągnięta możliwie największa jawność co do tego kto dane pismo wydaje, kto łoży na jego utrzymanie i z jakich wogóle żródeł czerpie dany dziennik swoje środki. W tym celu udziały własności, akcje każdego wydawnictwa prasowego muszą być imienne, spis posiadaczy tych akcji ma być periodycznie w dzienniku ogłaszany, a osoby prawnie odpowiedzialne za dziennik muszą pochodzić z grona współwłaścicieli, podczas gdy obecnie jako odpowiedzialni funkconują przeważnie wystawieni figuranci, nie mający żadnego wpływu na prowadzenie dziennika.

W motywach podniesiono, że gdy w dawniejszych czasach w ustawach prasowych chodziło głównie o zabezpieczenie prasy przeciwko zakusom rządów, to dziś rzeczą najważniejszą jest ujawnienie tych potęg prywatnych, kapitalistycznych, jakie za danym dziennikiem stoją i jego kampaniami w swoim interesie kierują. Chodzi o to, żeby publiczność zawsze była należycie poinformowana w czyim imieniu i interesie dany organ przemawia.

Nie ulega wątpliwości, że takie postawienie sprawy jest słuszne. Przecież dobrze byłoby, gdyby robotnicy, czytający socjalistyczny „*Populaire*" wiedzieli z ogłaszanych w nagłówku tego dziennika danych, że istnieje on dzięki pieniądzom, złożonym przez związek maklerów giełdowych (wzamian za zaprzestanie kampanii przeciwko spekulacjom). Oczywiście lepiej byłoby również, gdyby wszystko było jawne i nie potrzeba było dopiero całej kampanii i ankiety, żeby stwierdzić, że własność wielkiego dziennika republikańskiego, używanego stale przez ministerstwo spraw zagranicznych, przeszła jakimiś drogami w ręce jakiegoś awanturnika o niepewnej narodowości, będącego również właścicielem cyrku. Wreszcie, co może jest najważniejsze, słuszna jest kontrola nad wpływającymi do kas wydawnictw pieniędzmi zagranicznymi.

Każdy, kto miał do czynienia z prasą francuską wie, że wiele tam nie jest w porządku pod tym względem. Wiadomo o olbrzymich sumach, płaconych przez obce rządy za propagandę pożyczek, zasiąganych na rynku francuskim, a głośne procesy wykazały, że nawet podczas wojny obce, wrogie pieniądze miały dostęp do wielkich dzienników i robiły swoje. A wogóle w prasie francuskiej jest stanowczo zbyt wiele rubryk płatnych, poza anonsami.

Usunięcie tych wad wyszłoby niewątpliwie na zdrowie prasie i opinii. Czy da się ono osiągnąć za pomocą ustaw i przepisów, to jest oczywiście kwestia otwarta. Pomysłowość ludzka jest niewyczerpana, a działać będzie tym śmielej, że popiera ją zwyczaj i długa tradycja. Ale przecież może ten socjalistyczny kusy przyczyni się do nagromadzenia materiału pod zbożne dzieło.

Inne strony projektu są mniej ciekawe. Wzmocniono znacznie lub wprowadzono nowe przepisy, mające na celu ochronę czci osób prywatnych i urzędujących, zabroniono obrazy szefów państw obcych, i wydano wojnę wiadomościom „fałszywym i mogącym wywołać niepokój publiczny". Każdy dziennikarz wie jak te sprawy są trudne do uchwycenia w przepisy i jak łatwo usprawiedliwiona ochrona przeradza się w uniemożliwienie wszelkiej krytyki. Ale najbardziej charakterystyczne są przepisy o obowiązkowym umieszczaniu najrozmaitszych urzędowych sprostowań, komunikatów i polemik. Tu Leon Blum, pochodzący z rasy umiejącej doskonale posługiwać się prasą, pokazał do czego dąży: oto chce z całej prasy uczynić organy urzędowe i zamierza zastosować w całej pełni tę interpretację np. prawdziwości sprawozdania, która wymaga, aby były przytoczone wszystkie argumenty wszystkich stron. Nie wiadomo o ile mu się to uda, ale w razie powodzenia prasa francuska nabrałaby jedynego w swoim rodzaju wyglądu. Trzeba mieć jednak nadzieję, że i w takim wypadku francuski „*esprit*" znalazłby jakieś wyjście.

ARGUS

NA MARGINESIE

Przysłowia indyjskie

Prawda jest córką czasu.

Myśl o sprawach własnych, a cudze pozostaw ludziom.

Kto umiera bezżenny idzie do piekła.

Nie tnij gałęzi, na której siedzisz.

Czy melon na nóż, czy nóż na melon, zawsze melon cierpi.

Mieszka w rzece a jest w niezgodzie z krokodylem.

Jeśli chcesz utrzymać honor — nie proś nawet o kroplę wody.

Ten jest mądry, kto gniew swój stosuje do swojej siły.

Ten żyje, kto zdobył sławę.

W nieobecności mężczyzn wszystkie kobiety są czyste.

Milczenie jest ozdobą głupca.

Na stu ludzi znajdziesz jednego bohatera, na tysiąc — jednego mędrca.

[Z teki pośmiertnej Juljana Adolfa Święcickiego]

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.